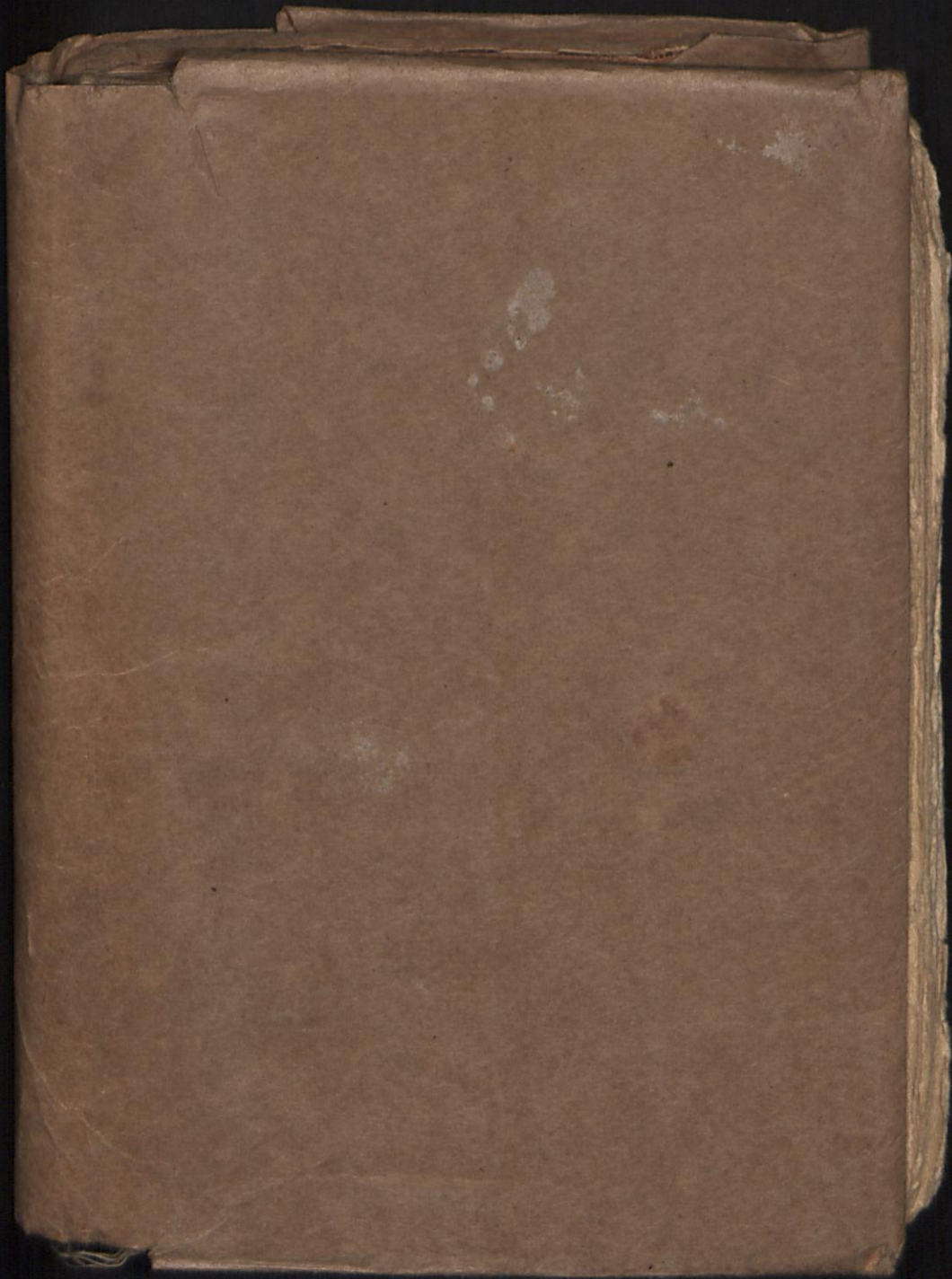
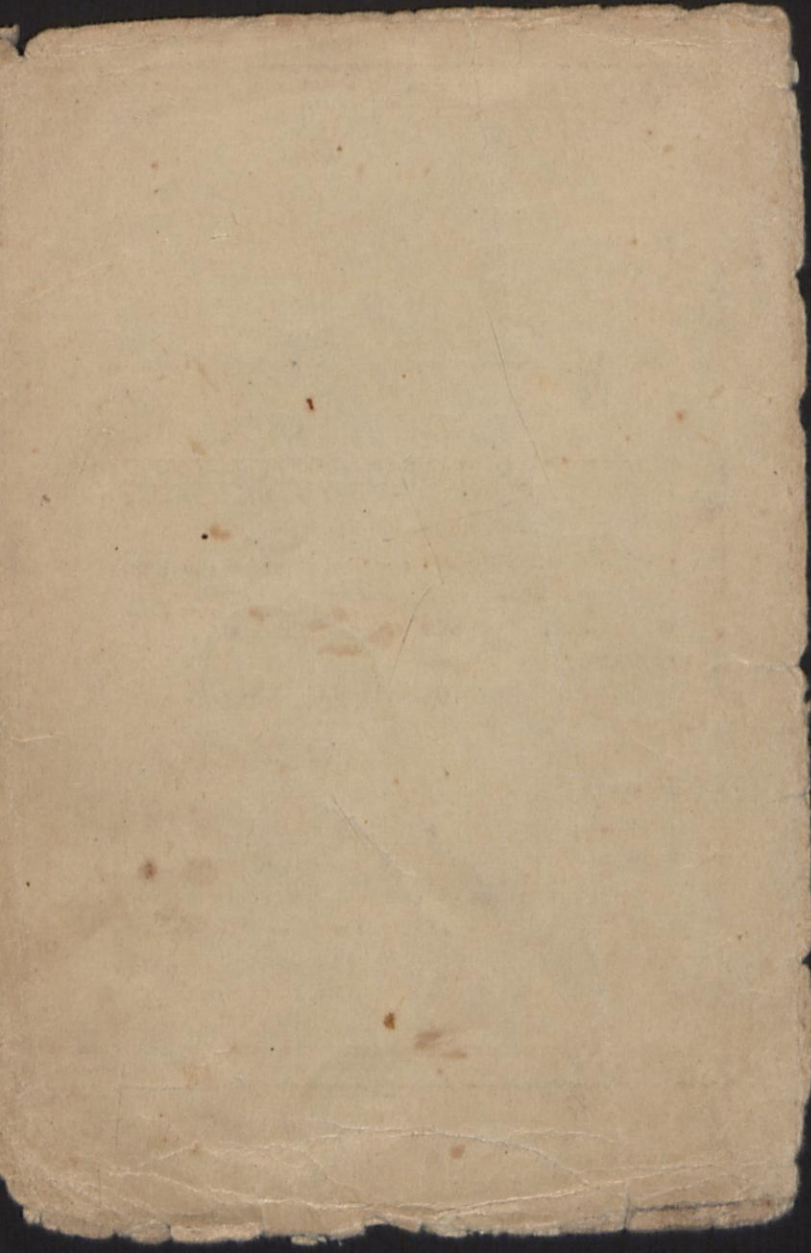








LADY MAKBET  
W MARJI MALCZEWSKIEGO

*Illa Saxonidum*  
*nitens ocellus*

*Illa Sarmatidum*  
*nitens ocellus*

A M E L I A . . .

Durini.





---

STANISŁAWA WASYLEWSKIEGO

*Bardzo przyjemne miasto*

*Ducissa Cunegundis*

*Klasztor i Kobieta*

*Na Dworze Króla Stasia*

*Na Końcu Języka*

*O Miłości Romantycznej*

*Pod Urokiem Zaświatów*

*Portrety Polskie Elżbiety Vigée-Lebrun*

*Portrety Pań Wytwornych*

*Romans Prababki*

*U Księżnej Pani*

*Zerwana Kokarda*

W PRZYGOTOWANIU

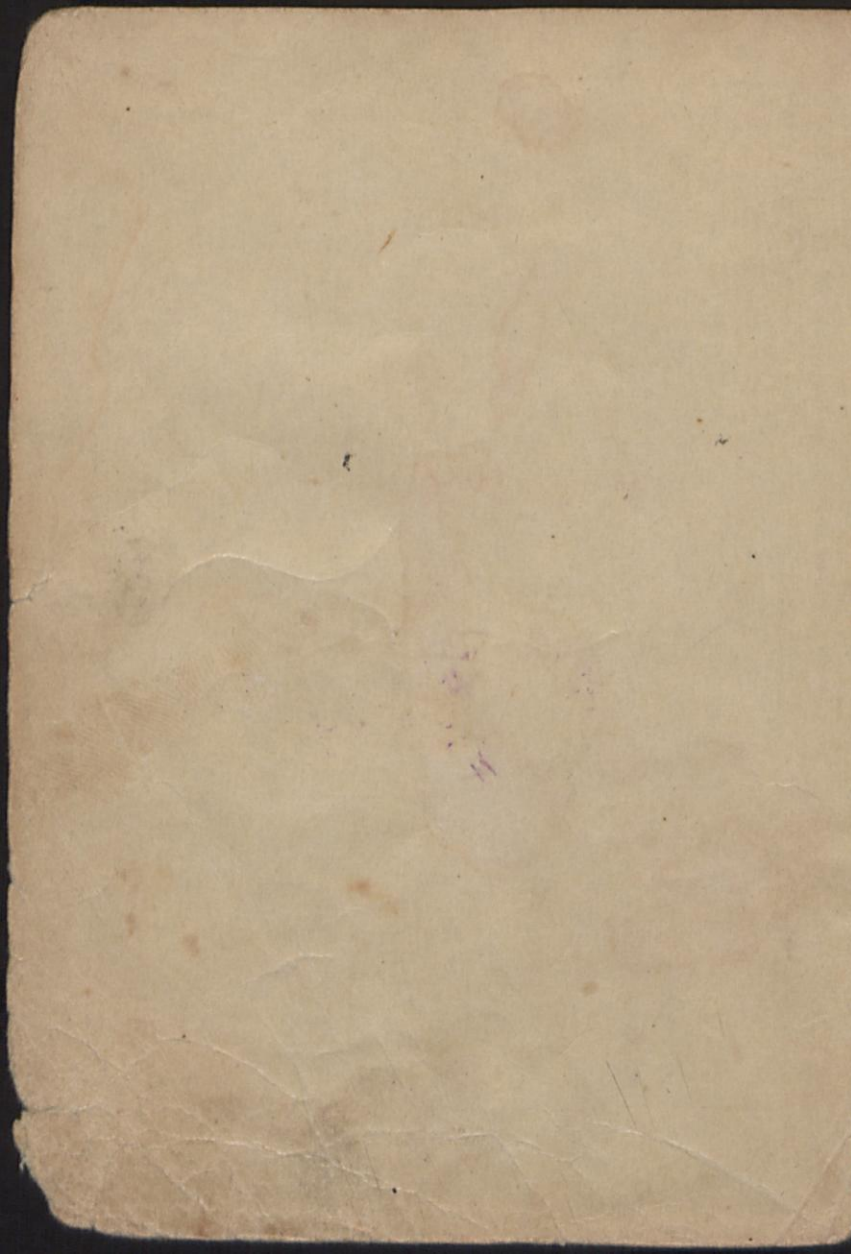
*Cuda Polski (IV) Lwów*

---

X  
TWARZ  
i  
KOBIEŃA



~~BIBLIOTEKA~~  
~~IM. KRÓLA ZYGMUNTA~~  
~~W ZAMOŚCIE.~~





STANISŁAW  
WASYLEWSKI



**TWARZ  
i  
KOBIEȚA**

BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
IM. JANA ZAMOYSKIEGO  
w Zamósciu.

[65.7]  
P O Z N A Ń

WYDAWNICTWO POLSKIE  
<R. WEGNER>

BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
Miejskiej Rady Narodowej  
w Zamościu

307<sup>5</sup>



WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

OKŁADKA IRENY POKRZYWNICKIEJ

DRUK: CONCORDIA SP. AKC., POZNAŃ

PRINTED IN POLAND



884-3

Księgozbiór BP



10099009

Zamość ul. Pereca 14  
Biblioteka Publiczna

PIERWSZE WYDANIE TEJ KSIĄŻKI UKAZAŁO SIĘ P. T.  
„PORTRETY PAŃ WYTWORNYCH“

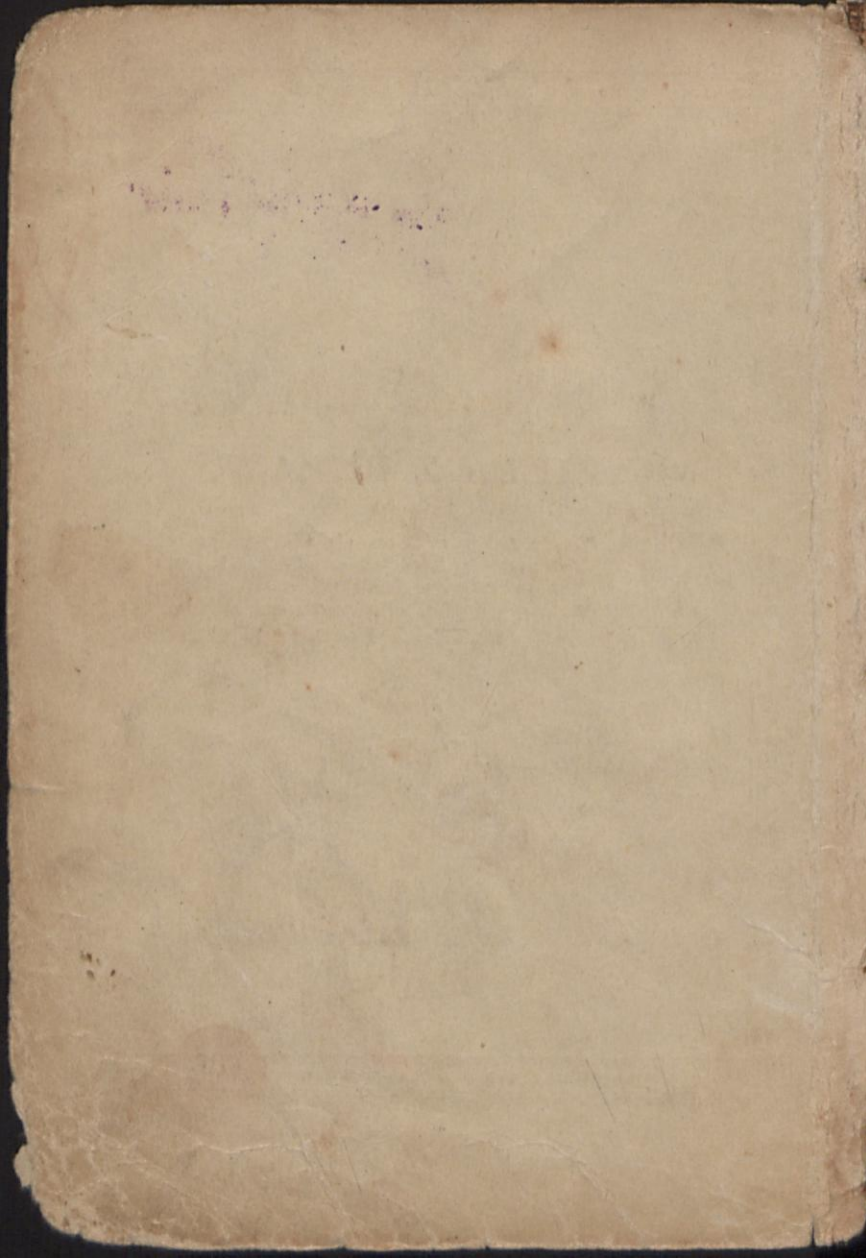
13765/P

## SYBILLA Z PUŁAW

*Cnoty twe z wiekiem się nie postarzały  
Tyś niemi codzień jak przed laty sławną  
Tak gwiazdy, w które nieba się ubrały  
Świecą jednako, chociaż świecą dawno.*

Franciszek Karpiński (1792).

BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
IM. JANA ZAMOYSKIEGO  
W ZAMOŚCI





BIBLIOTEKA PUBLICZNA

W ZAMOŚCIU

Gdyby chcieć wskazać jakąś postać niewieścią, najlepiej ujawniającą, najobficiej skupiającą wszystkie rysy czasu tego, to nią może być tylko ona jedna. *Standard woman*, godna medalu z napisem: *vivere ausae...* tej, która odważyła się być żywą! Biografja ks. generałowej, to zaiste brewjarz epoki — jej profil duchowy, to prawie wypadkowa wszystkich linii charakterystycznych ery stanisławowskiej! Wspaniałe, występne, najmiłsze, niecznośne i wszystkie znamiona XVIII-go wieku zbiegły się w tem usposobieniu i temperamencie. Jednego chyba warunku braknie do pełni reprezentacji: piękności. Izabella Czartoryska była tak jak Ninona Lenclos. Zaledwie urocza. Na portretach przeważnie pochlebiona *en beau*.

W czasie jakiejś wielkiej uroczystości w Puławach, już w drugim dziesiątku XIX-go stulecia, siwa już pani Wirtemberska zwróciła się do wiekowej staruszki z prośbą,

która, nawiasem mówiąc, jeszcze onegdaj nie dałaby się pomyśleć. Namawiała mianowicie matkę do uczynienia spowiedzi generalnej z całego życia. Staruszka uśmiechnęła się na to: „I owszem, moje dziecko, i owszem. Radabym bardzo. Ale cóż? to niemożliwe, bo widzisz, żaden ksiądz nie uwierzyłby, gdybym mu chciała powiedzieć wszystko!“...

Nie uwierzyłby. Sama tedy u schyłku wydziwić się nie mogła dymensjom przebytej drogi, nieprawdopodobnej ilości przeżyć i przeróżnym przemianom duszy.

Chodziła po świecie lat dziewięćdziesiąt z górą. Od Augusta III do Metternicha, od markizy Pompadour do Makryny Mieczysławskiej, widziała Woltera i Chopina, kossynierów Kościuszki i emisariuszów Zaliwskiego, Katarzynę II-gą i Napoleona. Przeżyła epokę saską, barską, listopadową. Pisano, mówiono o puławskiej pani tyle dobrego i złego, osobiście przeszła takie tragedje, farsy i wodewile, że możnaby tem obdzielić dziesięć innych kobiet i jeszcze starczyłoby na jedenastą.

Potomni panegirycyści oślinili ją superlatywami. Przenajżywszą istotę zmieniono w



nieznośnego manekina. W kusym, wiecznie tym samym kontusiku „Matki Spartanki“ pokazywali księżnę Czartoryską narodowi Stanisław hr. Tarnowski, Ludwik hr. Dębicki i pani Duchńska. Naodwrot współczesni jej złośliwcy wzięli ją sądzić z pozorów chwili, z momentu i zdrożnego szaleństwa. A jedni i drudzy zubożyli doszczętu bogactwo typu, zatracili nieoceniony styl postaci.

Raz potępiana nad miarę, znowu do śmieszności chwalona, jakąż była w istocie — Izabella Czartoryska?

\*

\*

\*

Czterysta koni, dziesięć wielbłądów i dwa naście karoc pozłocistych wiozło ich w roku 1761-ym w podróż poślubną. Siedemnastoletnia Fleminżanka, mimo znaczny procent krwi radziwiłłowskiej, jagiellońskiej i bourbońskiej, nie była piękną; też naprzekór wszystkim wysiłkom pań z „familiji“ wydawała się mocno „rozsypaną w edukacji“. Pana młodego już wkrótce zwać będą „najwykwintniejszym z wielkich panów w czterech częściach świata“. Ale i on nie wie co począć z tępem biedactwem, które mu za żonę dała racja stanu. Na jej widok ludzie

plakali. Oszpecona ospą, bez cery, drobna w sobie, z rzadkimi kosmykami włosów. Jedne tylko granatowe, wielkie, prawie spiczaste oczy błyszczały w niebożątku. Naturalnie bogata. Dukaty w trzosach podróżnych noszą nawet profil panny młodej. Stary Fleming, królik holenderski, miał bowiem własną mennicę. Córka jego wcale nie umiała rozeznaczyć się na świecie. Mąż prowadzi ją najpierw do J. J. Russa. Nie wiedziała kto to taki. Złożyli wizytę pani Geoffrin. Nie rozumiała poco. Franklin dopiero zaciekał dziewczynę grą na harmonji. „Nie pojmowałam co do mnie mówiono, nie byłam w stanie słuchać poważniejszych rozmów“ — wyzna później sama w pamiętnikach.

Już lepiej w Paryżu, na dworze księżny Orleańskiej. Zdobyła sobie w czambuł societę doskonałym *bon mot*. Nawiasem powiedziawszy, dowcip był istotnie dobry. Ktoś z towarzystwa opowiadał cuda o dziwnym kraju na północy: *Li... Li... Lithuanie*. Otóż w tym kraju ludzie mieszkają przez cały rok w jamach śniegowych, a dzieci zjada codziennie straszny, czyhający u wyjścia niedźwiedź. Ks. Izabella wybucha śmiechem



i oświadcza, że urodziła się na Litwie. Ogólne współczucie. Ciąg dalszy przy kartach. Jakaś wysoka komtesa powiada do niej: „Tylko niech pani unika gry z moją matką, straszliwie oszukuje!“ Na to 18-letnia Czartoryska: „Ach tak?... A wie pani, że w tym kraju, w którym niedźwiedzie pożerają dzieci, żadna córka nie ośmieliłaby się powiedzieć tego o matce swojej.“

Rok cały trwał ten wójaż. Pan młody był pierwszym wychowawcą dziewczątka, tak jak później będzie pierwszym i cynicznym — demoralizatorem. Poznali Paryż, Amsterdam i Londyn. Dla zabawy używała czasem stroju męskiego i dlatego w Frankfurcie wzięto ją za duńskiego króla.

Wróciła do Polski już ogladzona nieco. Pojęła niektóre „konszta“ i „maksymy“ życia. To przedewszystkiem, że nie jest tak brzydką jak mówili. Dowiedziała się, że ma oczy przedziwne, grające i zmienne. Nabrała uroku. Już chce czegoś, już umie chcieć od życia, od krawca i dekoratora. To i owo widziało się z nowej mody rokoka w salonie, w Trianonie, w teatrze, w buduarze. Umie też likworem białym pisać listy sekretne i po-

doba jej się to wszystko, *ce que plait aux dames à Paris*. Na razie. Wrócili właśnie na czas bezkrólewia po Augustcie III-cim. Mało ją to jeszcze boli, że mogła zostać, a nie została królową Izabellą, bo przecież mąż jej godniejszy był tronu od stolnika. Z innego powodu cierpi.

„Zdarzyło się, że wszedłszy znienacka do pokoju, zastałem ją kreślącą moją cyfrę na zwierciadle pudrem posypanem“.

Kto wszedł? Naturalnie Stanisław August.

„Zmieszana rzekła do mnie: „Mógłbyś mnie choć trochę kochać, choćby przez wzajemność!“

A więc i ona także, jeszcze jedna w orszaku... Ten król to drugi nauczyciel poloru i gracji. Na balach koronacyjnych (1764) w ogrodzie saskim, gdzie wśród barwistych lampjonów tańczono pod namiotami, wchodziła w polski świat. Nawet jej śmiertelna nieprzyjaciółka, ks. marszałkowa, musiała przyznać, że to wejście było, owszem, znośne. Potem codziennie wieczorem u króla; odwożona na zamek przez męża, który się uśmiecha. Filozof. „Ale nad miarę przyjaźni nic się tam nie działo“ — dodaje król szybko w

swych pamiętnikach. Zaś ona po latach tak o tem wspomni: „Ze wszystkich ludzi w mojem otoczeniu kuzynek, król Staś, był najtroskliwszy. Nie ulegałam mu wcale, ale miałam ogromną przyjemność, odbijając go najpiękniejszej kobiecie Warszawy“ (podobno krajezynie Potockiej).

...W tym właśnie czasie królowa Marja Antonina włożyła muślinowy kostjum pasterski i śpiewając tęskne berżerety pasła białe baranki na łączkach Trianonu: *Linon dormait dans un bocage. Un bras par-ci, un bras par-là*. I zaraz odpowiedziało jej echo z Mazowsza. O pół mili od stolicy wyrósł zaczarowany gaj Powązek, polski Trianon w minjaturze i grotesce, pierwsze u nas monumentum cacanej bezmyślności rokoka.

Malowane labędzie pływały na sztucznie barwionych stawkach.

Na śniegu z waty kwitły róże z porcelany, myszki na łańcuszku, kanarki z wosku i koralowe poziomki ze śmietaną. (To wszystko potem potłucze Suworow).

W gaiku zielonym skakały (szorowane codzień) kózki, ptaszki, węże, pustelnicy i autentyczne, żywe holenderskie dziewczątka.



Były w Powązkach groty, kaskady, szalety, stajnie naksztalt Colosseum, świątynie dla nieznanych bóstw. Fałszywe ruiny, opuszczone młyny, a nadewszystko *les cottages*. Owe rozczulające, koniecznie słomą kryte, koniecznie rozwalone chałupeczki („w takowych Baucis z Filemonem żyła“). Pani i cały jej drobiazg (troje będzie wkrótce) koczuja tam wiosną i latem. I książę generał. Każde ma swoją chatynkę słomianą, napół rozwaloną. Pan Norblin także. I przy gitarze śpiewają: „w słomą krytej niskiej chatce, przy ubogiej mieszkam matce“. Ale zajrzyjcie wraz z Trembeckim do wnętrza: Przepych bez ceny, luksurja bez granic! Z Paryża idą brzozy i kryształ, z Amsterdamu ostrzygi, z Orjentu kobierce. Fabryki porcelany wymyśliły osobny rodzaj kosztownych tafelek na ozdobę łazienki. Trianon takiej niema. („Jest to rodzaj niszy, ukrytej pod kanapą, obitą drogą materją. Wanna składa się z 600 płyt złoto - oprawnych“ — pisze, rozdziawiwszy gębę, Imé Bernoulli). Na sielskich stołach chałupiek zbiory monet i sztychów, na bierwionach minjatury szyldkretowe



„w sposobie nieznanym“, a plafony właśnie pan Norblin ukończył.

Mieszkańcy tego ustronia unikają, ile można, stroju ludzkiego. Westalka nowej mody przebrała ich za faunów i leśnych satyrów. Nawet niemowlęta (ks. Adam i autorka „Malwiny“) spowite cudacko, kwilą w dziwacznych pieluchach Orjentu. „Przyjaźń nas łączy, a wesołość ze szczęściem wypełnia dnie i godziny“. Maskarada na co dzień, reduta w jasny dzień.

Wieczorem zaś tłum gości zjeżdża karami. Fircyki, ambasadorzy, wydrwigrosze. Już przyjechali w maskach, w larwach i przebraniu. *Une fête villageoise!* Powitał ich najserdeczniej ks. generał i wnet rozbiegli się tłumnie po gajkach, bo sekret w tem, by dojść szybko, jaki kostjum i barwę wzięła dziś na się wróżka i królowa z granatowemi oczyma.

„Już księżyc zeszedł“ i zmienił gajk w srebrną, osjanowską grootę Fingala. Szukając maski i barwy gospodyni, rozbiegli się goście po zagajniku:

...Chowa się gdzie kto może, ten się wyżej krzepi

Kto się falbany leniwie uczepi  
Tamten po sznurowaniu szczeblujący dzielnie,  
Kędy zaszedł tam myśli mieszkac nie  
śmiertelnie...

Że trudno znaleźć ks. Izabellę nie dziw, bo wiemy i my jak bardzo odmieniła się dawna Fletinżanka. Sama tego świadoma wyznaje: „Nauczyłam się zręcznie podnosić powaby mojej buzi i duszy również... Żadna z kobiet nie posiadała tak subtelnej zalotności... Na szali mych powodzeń przeważało szczęście...”

Teraz zaś chroni się szybko przed pości-giem. *Un bras par ci un bras par-là*. Skryła się za pniem grubego dębu i znikła. W tym pniu są drzewiczki tajemne, w tym pniu wewnątrz stoi „szeptaczka“ albo „kozetka na osób dwie“. Za nimfą nie wejdzie do wnętrza nikt, chyba ten, kto zna tajemny parol i sekret ukrytych drzwi. Kto zna? Zawsze kto inny. Kupido powązkowski też zmienia co-dzień szaty. Może król, lub markiz Conflans, lub Xavier Branicki, a najpewniej Mefisto z oczyma demona, którego imienia lepiejby nie wymieniać, bo osjaniczny księżyc skryje się natychmiast w czarnych chmurach stu-



letniej martyrologji — Mikołaj Wasiljewicz  
Repnin!...

„Wnet przekonałam się, jak bardzo jestem mu droga“. „Familja“ pojęła w lot, ile to warte. Król cofa się natychmiast, nie chcąc, broń Boże, wchodzić w drogę wszechmożnemu. Na wyścigi umacniają to *liaison*. Zimno, cynicznie popychają westalkę Powązek w objęcia ambasadora. Młodą, głupią i ciekawą kobietę zaraża duch czasu. Bądź-że nam ofiarą na ołtarzu miłości lubej ojczyzny. I przebłagaj prokonsula i odwróć grożący cios. Cios zaś wisiał w powietrzu: Nakazana przez Petersburg konfiskata dóbr.

Posłuchała i poszła. Nie można powiedzieć, że zamknęła oczy, patrząc na politykę ambasadora, gdyż ani trochę nie wiedziała co to takiego ta polityka. Przy szmerze kaskad, przy blasku księżycy znalazła w ramionach jego miłość. Kocha, jest posłuszną i zapewne dlatego przykładą rękę do wywiezienia senatorów (1767) i tylko dlatego z nim siedzi potem w śróde popielcową w puściuteńkim dla demonstracji teatrze. Wie dobrze, że „miłość podległa jest często przypadkom przeciwnym“, a także to, iż „nawet uniżające



kondycje nie są czulemu sercu nieznosne“. Kondycyj takich nie braknie. Plotka nie oszczędzi nawet jej macierzyństwa. Jej syna złośliwi zwać będą Repninowiczem, córkę najstarszą — Ciołkówną.

Nikoła Wasiljewicz kocha ją naprawdę i najgorzej na tem wychodzi. Traci ambasadę i łaski impieratrycy. Wobec Polski był dość *cruel*, wobec Czartoryskich za mało. Jak śmiał wstrzymać rozkaz konfiskaty dóbr?! Odwołany musi wyjechać (1769).

Pudrowane łabędzie pobladyły. Została sama wśród plotek, wyrzutów familji i tęsknoty. Na uroczej kozetce w Powązkach siadywał z nią teraz — aż do wyjazdu zagranicę — Branicki.

Ta druga podróż ma już cel jasno wytknięty. Najpierw po to, by tam się spotkać z Repninem, powtórę dla zabicia nudy, która codziennie więcej odbarwia powązkowskie cuda. Nareszcie z żądzy szukania przygód. Tych samych i takich samych, których pełne są pochłonięte świeżo romanse: Dorat, Richardson, pani de Tencin i pani Genlis. Nie myślała może płocha pani, iż rzeczywistość przejdzie oczekiwania lektury.

Błękitne wody w Spa teraz dopiero wyglądają uroczo. Łasi się do wszystkich spotykanych diuków. Hr. de Guines. Płytkie flukta swawolnej „rozpustności“. Podobno znowu wyładniała. *Les plus beaux yeux, les plus beaux cheveux, un très joli pied* — zawoła już wkrótce z zachwytem następcą Repnina. Demoniczny Mefisto Północy snuje się za nią jak cień i... płacze. Poznała Lauzuna. O lusztuku! Niedoszły amant Marji Antoniny, chowany na kolanach pani Pompadour. *I love you*. Przysięgła mu miłość i obiecała wkrótce skończyć z tamtym. „Amant żaloszny“ został „wyperswadowany“. Powiedziała mu tak, jak on biskupom na Sejmie: *Paszoł won!*

Więc ci obaj, ten „wyperswadowany“ Repnin i tamten, szczęśliwy nadzieją Lauzun pędzą za panią do Anglii. Zostawiła ich samych (niech walczą) i wraca do Francji (Braniczki czeka). Lecz zające w perukach nieskore do pistoletów. Długa rozmowa, zapisana u Lauzuna. „Uwielbiam księżnę i wszystko poświęcę dla jej szczęścia“ — woła Mefisto Północy. Każdy postanawia być szlachetnym, a obaj truchleją na myśl,



żeby ich tu nie zmacał ten Branicki, którego gwałtowne formy surowo potępiają. Epizody rozciągają akcję. Czasem mąż zjawi się i uśmiechnie, wiedzący o wszystkim, czasem jakiś genialny Gaubius, lekarz chorób, które się jeszcze wtedy nie nazywały histerją. W scenach zazdrości kołują damy rozmaite: madame St. Leger, jakaś repninowska Czer-nyszewa, i Peruwianka Lacheresia.

*Enfin* rola Nikoły Wasiljewicza smętnie skończona. Zagroził podwójnem morderstwem i samobójstwem, rozplakał się i wybiegł z pokoju ze słowami: Przynajmniej ty bądź szczęśliwa!

O tak, jest szczęśliwa na wieki z Lauzunem. „A teraz drogi hrabio, opowiem panu historję mego życia“. Potem zalała się łzami i — zdradziła go. *Oubliez! l'amour n'est qu'un supplice!* Z kim, niewiadomo. Na wszelki sposób markiz postanawia się strzelać z Branickim. Postanowił. Pani Ogińska, rozczulona poetycznością tej sytuacji, posyła mu w prezencie araba pełnej krwi i parę kosztownych pistoletów. Odmyślił się.

Spazmy, rzucania się do nóg, krwotoki i przysięga: umrzemy razem!



To coś więcej niż pani de Genlis? O tak! To już Boccacio i Brantôme razem, zaś kochankowie sami mówią, że naśladowali raczej romans Dorata: *Sacrifices de l'amour*.

Nowy amant na widowni: Franiś Rzewuski. Lecz i tamci dalej są: Lauzun i Branicki. Tysiąc powikłań. Znowu przysięgi na klęczkach, wodewile pożegnań, trajedje oddaleń.

Potem *qui pro quo* za kotarą, *malheur irréparable* w hotelu, skandal w szafie. I prezentacja na dworze Marji Antoniny. I najobrzydliwsza książka, jaką kiedykolwiek napisał mężczyzna: Pamiętniki markiza Lauzun. Akt zemsty, za wszystko co wycierpiał i jeszcze wycierpi. Za te późniejsze gonitwy z Paryża do Warszawy. (*Je passais deux fois vingt quatre heures à Powązki*). Wszystko działo się w latach 1771—1776 w pośród dekoracji, jakich mógł pozazdrościć Rzym starożytny, Alhambra i Kleopatra. Wszak to Guerin, Watteau i Boucher kładli im wieńce na głowy, krawiec Ludwika XV-go zamieniał ludzi w strojne laleczki z bajki. I tylko coraz brakło dukatów, tych holenderskich, z popiersiem Fleminżanki.

Gdy nagle refleksja!... Zdyszana tanecz-  
nica przystanęła.

I po tej szalonej, dziesiątek lat trwającej  
reducie ją patrzeć w zwierciadło. Na trzy-  
dziesty siódmy szło jej mniej więcej. Pudro-  
wane rokoko zaczęło szeptać teraz zgola co  
innego. Odkryła wszystką przepaść nicości  
swego życia. Jakiś żal może, tęsknota, i  
wpływ upokorzeń niektórych? Dostrzegła  
różne rzeczy w sobie, naokół siebie, przed-  
tem niewidziane, niedostrzeżone.

I całą mocą temperamentu zawróciła z drogi.

W spopielałych gówniach zatlił żar nowy.  
Nagle, rzekłbyś przez wieczór, dokonała się  
ta przemiana. Podobnie szybko, niepostrze-  
żenie, całkowicie, jak i tamta pierwsza.

Przedtem tępa, nieokrzesa Fleminżanka  
przeobraziła się szybko w nimfę Powązek  
*d'une grâce inimitable*. Teraz swawolna pani  
z Brantôme'a została mądrą Sybillą Puław.

Przeróżne i wysokie cele zabłysły przed  
granatowemi oczyma:

Zbudować wspaniałe *Polish Museum* na  
wzór angielskiego, panteon, w którym ja-  
giellońska przeszłość znajdzie schronienie i  
pamięć.

*tion, qu'a vu la Pologne* — pisze boski Delille w roku 1785.

Ileż zmian w samej właścicielce, która dawniej umiała tylko „podnosić powaby twarzyczki“. Teraz wzbudza admirację „pamięcią obszerną i nauką, nietyłe wszechstronną, co miłą i zajmującą“. Dawniej *vivere* teraz *sapere ausa*.

Nadmiar gry i pozy? Zapewne, ale zarazem czyn cywilizacyjny. I policzek dany bezużytecznym Tulczynom i Tulczynkom.

Najwyżej staną Puławy w epoce Sejmu Wielkiego. Miała wówczas Polska dwa majestaty, dwie stolice, dwa dwory — królewski i czartoryski. A podczas burzy podziałów tam znalazł schronienie dobry genjusz starej Ojczyzny. „Straciliśmy Rzeczpospolitą — powie z głęboką wiarą K. Koźmian — zostały nam Puławy“.

W dniach wielkich świąt Sybilla z Puław kładzie na się ciężki i wspaniały łańcuch Anny Jagiellonki. Nietylko muzealną cenę miał dla niej ten zabytek, bo też uosabiał najżywszą tęsknotę. Marzenie o tronie królewskim dla któregoś ze swych dzieci nie odstępuje nigdy ambitnej pani. Tylko dla-



tęgo unieszczęśliwia córkę, czyniąc ją żoną zdrajcy i łotra, potem syna swata daremnie z królową szwedzką.

Dosięgają ją gromy i dopusty losu. Najnieszczęśliwsza matka straci w tragicznym wypadku córkę Teresę, patrzy na nieustanne łąy ks. Marji, potem synów będzie musiała oddać Katarzynie, i przeżyje bardzo drażliwy moment miłości jednego z nich dla Cecylji Beydale, która także była jej córką. Nareszcie wnuk w służbie rosyjskiej będzie na jej oczach strzelał z dział do puławskich komnat. A w tej mierze triumf tylko jeden: księżę Adam. Najdzielniejszy i najzasłużeńszy z mężów stanu w XIX stuleciu. A te jej listy do tego syna, i mądre i prześliczne tkliwe można dziś drukować w podręcznikach szkolnych.

„Matka Spartanka“. Propagatorka polskości w stroju, obyczaju, literaturze. Agituje przeciw frakom i francuskim powieściom, w Berlinie przed Niemcami tańczy kozaka... dla propagandy. „Niemasz prawdziwie nad Polskę!“ *Je ne désire rien tant au monde que de revenir en Pologne (1789).*

W tym czasie zaangażowana w polityce. Stała się egerją opozycji magnackiej w epoce Sejmu Wielkiego. W Puławach zjazdy przeciwników Stanisława Augusta. Jej stosunek do króla, wszedł w nową fazę: po głuchej miłości, po siostrzanej i najczulszej przyjaźni rozgorzał zacieklą, wzajemną nienawiścią. Ręką w rękę walczy z mężem przeciw królowi. A ten król ogłasza (1786): „Kto pójdzie za księciem generałem, będę go ścigał na fortunie, na przyjaciółach, na dzieciach!!“.

Przystąpiła całem sercem do stronnictwa patrijotycznego. Jako markietanka bierze udział w manewrach r. 1791, porywa wpływem, w tym i owym budzi sumienie, pisze pieśni dla żołnierzy: „Hej, hej, żołnierze! Serca nasze radość bierze. Wy kochacie nas!“

Przedziwna, niespożyta, jakże żywa...

Rok Insurekcji. Naczelnika w sukmanie wita z entuzjazmem, trochę lęka się, ale patrzy z podziwem. Korespondują. „Jak mnie źle sądzisz, księżno, i jak nie wiesz serca mego... Bóg widzi, że nie francuską zaczynamy rewolucją!“ Wypieściła sobie już dawniej myśl wcale sprytną: ożeni go z córką, księżną Wirtemberską. Wszystkie inne

projekty zawodzą, lecz chyba ten, taki demokratyczny...

Zawiódł i ten. Legły w gruzach nietylko królewskie ambicje, ale i medyceuszowska kolekcja Puław — nie załamała się linja pędu życiowego księżny. Z głębin wieczyście młodej duszy dobywa nowych sił i zaczyna — pisać! I to prawie własnoręcznie.

Jedyna chyba literatka wśród pań roko-ka, dla których ortografja polska była zawsze tajemnicą o siedmiu pieczęciach.

Dziwy niepojęte! Bohaterka pamiętników Lauzuna wydaje pierwszy podręcznik historii ojczystej dla ludu „Pielgrzym w Dobromilu“ (1803), zakłada pensje dla dziewcząt, zbiera „koło wielce szanownych i znakomitych dam“, które czuwają nad planami szkół żeńskich i wizytują zakłady.

I jeszcze „Myśli o ogrodach“ (1807). „Po klęskach ojczystych, gdy inne zabawy i rozrywki straciły powab, ta jedna odrywała mnie od bolesnych wspomnień“. Rozmilo-wała się w szarym krajobrazie polskim. Całe dnie spędza nad łachą wiślaną i w oranżerji. Znalazła dwie, nieznane gdzieindziej na świecie, rośliny, pomarańczową azalję i pewien



dziwny głóg. („Polska, ach Polska! I czegoż w niej niema? Wszystko, oprócz szczęścia“). No i z gotowizną krucho było przy końcu. Dziesięć milionów długu mieli w chwili upadku Polski krezusowi, księżni państwo.

A potem w Księstwie i Królestwie już śliczna postać matrony. Zgrzybiała fizycznie, duchem dziewczę, lotne w nieznamiętanej myśli. Win swej przeszłości nie tai, czasem w poufnej rozmowie sama opowiada. Stała się widomym znakiem mocy, ufności, wiary w przyszłość. Złoty łańcuch Anny Jagiellonki, który w dniu świąt uroczystych kładzie na szyję ks. Izabella, już teraz nikogo nie razi. Widzą w nim ludzie symbol dostojności przeszłości i straż nad skarbem dawnych wieków. „Nie przyszedł jeszcze czas na oddanie hołdu należnego pamięci tej dostojnej pani“ napisze A. E. Koźmian, dowiedziawszy się o jej śmierci.

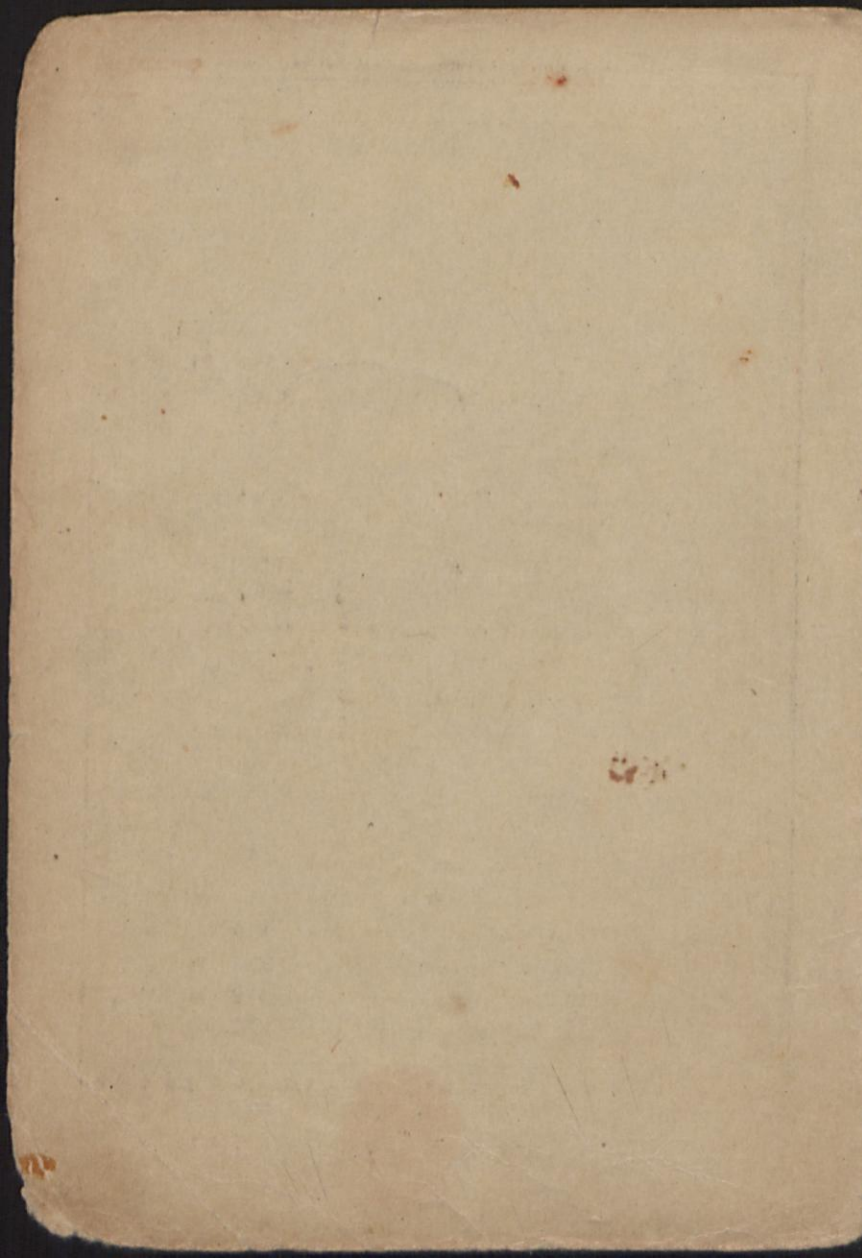


## WESTALKA Z ARKADJI

*Pod czyjeż prawa zechcesz pójść Pani  
Z tym wdziękiem serca i twarzy?  
Stają się wszyscy Twoi poddani,  
Którym się Ciebie znać zdarzy...*

Trembecki.





**O**d podlotków do siwych matron, przez całe długie życie współzawodniczyły z sobą. Na wszystkich polach i też w ambicjach wszelkich, jakie tylko władać mogą sercem kobiety. Przez pięć dziesiątków lat rywalizowały i zazdrościły sobie Sybilla z Puław i Westalka z Arkadji.

Dwie królewskie lwice, nad strojnym orszakiem dam stanisławowskich panujące, *inter paribus primae*, antagonistki godne siebie, *la princesse générale*, Izabella z Fleminarów, — *la princesse palatine*, Helena z Przedzieckich.

Ostatnia wojewodzina wileńska, w przeciwieństwie do ostatniej generałowej ziem podolskich, uchodziła za piękność. Mimo siwych od młodości włosów była o całych sześć lat młodszą od rywalki. Grecka tiunika z „obszlegami“ to jej strój ulubiony, podobnie jak złota przepaska na włosach, lub wieniec świeżych, jaskrawych w barwie róż.

„Patrzcie na różyczki w śniegu!“ — po tym afektowanym okrzyku poznawano, że wchodzi na salę.

„Jakże niezwykle piękna — świadczy zachwycona swą świekrą ks. Ludwika Pruska. — Rysy klasyczne, szyja śliczna, białe ręce i okrągłe ramiona w niczem wieku nie zdradzają, a siwe, białe włosy świetnie kontrastują z świeżością cery“.

Nietylko piękniejszą była Radziwiłłowa od Czartoryskiej. Lotniejszą także. Artystka z urodzenia, myślicielka z natury. Duchowo bardziej uposażona, więcej subtelного uroku duszy, więcej pierwiastków twórczych, „malowniczości“, jak wówczas mówiono. Najpierw śpiewa. „Najcudowniejszy posiadając z głosów, umiała jak Amfijon poruszać śpiewem kamienie, które w tan puszczone ułożyły się nagle w przybytek bogów — Arkadję“. Potem pisze. Po francusku naturalnie. Jej „Myśli o sztuce“ (niedrukowane dotąd) zdają się stać o wiele wyżej nad konwenansem tamtych „Myśli o ogrodach“. Świat zna tylko z lektury i marzeń. Gdy rywalka całą swą niemal kulturę zawdzięczała wojażom, Radziwiłłowa nie jeździ ni-



gdzie. Raz czy dwa razy była w Berlinie, raz czy dwa razy w Petersburgu. Tyle wszystkiego.

Gdy jednak pani Powązek uczy się wciąż i stara wciąż uzupełniać „defekty rozsypanej edukacji“ — tutaj przeciwnie. Groteskowość usposobienia Radziwiłłowej, niepojęta rubasznosc form, zawiesiste słownictwo, śmiech jakiś ptasi, wszystko to dziwnie przyćmiewało wyjątkowe zasoby duszy. Razila nawet Katarzynę II-gą, która raz dała jej to odczuć w sposób dosadny, niby strofując suczkę swoją za nadmiar swobody. Ale fircykom nie wadziło to bynajmniej. *Vous êtes vraiment la fée merveilleuse!* — pisze labuś Dufresne, jeden z tysiąca uszczęśliwionych.

Od najmłodszych lat rywalizują, od tej już chwili, gdy w r. 1764, obie, młoda mężatka i czupurny podłotek weszły w świat na balu koronacyjnym w ogrodzie saskim. O pierwszeństwo, o poetyczność i oryginalność ściagały się. I o nienasytość ambicji. Pojedynek miał długo pozostać nierozstrzygnięty. Trochę za wcześnie rozsądził spór stary galant i komplementalista ks. de Ligne. Na niekorzyść Alcyny z Powązek, na awantaz

Armidy z Nieborowa. „Udarowana większym zasobem poezji i filozofji bierze górę nad tamtą“.

A one patrzyły na się z ukosa, licząc skwapliwie sukcesy. Zarzucały sobie wzajem nie-szczerłość. Zupełnie słusznie. Darzyły się najśłodsza, cukierkową adoracją. Obludnie. Dziwnie podobnie układało się tam niejedno: Gdy w Powązkach królował Repnin, Arkadją później na tych samych prawach rządził Stackelberg. Tamci państwo mieli intymną lożę na teatrum, ci jeździli po Warszawie w 6-konnej karocy, z pażem konnym z lewej strony, koniuszym z prawej i dwoma lauf-rami na przedzie.

Potem sybilla rzuciła Repnina i zakochała się w panu de Lauzun, zaśię falcgrafini Nieborowska pożegnała Stackelberga i rozmiłowała się w ambasadorze angielskim panu de Whiteworth. Tamta jedzie za Francuzem na zachód, nad Sekwanę, ta dąży za Anglikiem na wschód, nad Newę. Rzeczy żałosne tu i tam. W jednym wypadku słodzi je Rzewuski, w drugim nowy poseł rosyjski pan de Sievers! Obok rywalizacji erotycznej — macierzyńska. Obie szczycą się i słusznie

swymi dziećmi, rade gwałtownie wygrać za ich przyczyną wielki los życia. Czartoryska wysłała syna Adama do Anglii, Radziwiłłowa swego Antoniego do Getyngi.

Potem *princesse générale* wydaje córkę za ks. Wirtemberskiego. Są w tym marjażu ukryte, dalekie kombinacje dynastyczne. Ale ukryte i dalekie! *Princesse palatine* znalazła dla siebie kombinację dynastyczną, bliską i, tak jej się zdawało, łatwo ziszczalną. Ożeniła syna z Hohenzollerówną.

Oddawna już patrząc z trwogą na wzno-szone przez rywalkę cuda Powązek, stwierdzała z boleścią, że zbyt wiele o nich mówią. Przeto postanowiła zaćmić je — Arkadją.

Z wyżyn niepospolitej naprawdę kultury artystycznej ocenia te redutowe bawidelka, pasterskie figuryunki. „Sztuka może być dwójaką — powiada w swej rozprawce — wzniosłą, albo przyjemną tylko!“ Te twoje Powązki są przyjemne tylko, ja stworzę dzieło wzniosłe.

W bólach zazdrości, kołysanych słodką nadzieją zaćmienia rywalki, przychodził na świat ten piękny i dziwaczny pomnik nowo-



klasycznego stylu, wspaniałe dzieło mądrej i dziecinnie zawistnej kobiety.

Ittar wznosił Colloseum, Staggi rzeźbił kolumny, Płoński rozcierał farby, Orłowski malował tła plafonów. Norblin pracował tu i tam, znakomicie lawirując między dwiema chlebobawczyniami. Podzielił swój talent między Powązki i Arkadję. Chociaż nie! Radziwiłłowej dostało się wspaniałe dzieło mistrza, najlepszy plafon, jaki kiedykolwiek powstał w Polsce: „Jutrzenka“.

W najbardziej szarem ustroniu Mazowsza przymuszała naturę do piękności. Na błotku zarosłem olszynką pod Nieborowem stwarzała wąwozy, jeziora, strugi rwących rzek, na morzu piasków łowickich budowała góry, arkady, akwadukty. Sprowadzała posągi, popiersia, perskie makaty, greckie kadzielnice, rzymskie kasolety i „pajęcze Indów szale“. Gdzie co ujrzy zabiera bez żenady, podobnie zresztą jak i tamta. W r. 1784 pisze król do Bacciarellego: „Uproś Waś wojewodzinę odemnie, by nam siedziała jako Muza lub Minerwa. Lecz przytem uważaj, żeby nam czegoś nie ukradła“ (*Mais prenez bien garde, qu'elle ne vole rien chez nous*).

Właśnie upadała w trzecim rozbiorze Rzeczpospolita, gdy nad Bzurą stanął jasny i szczerzy gaj bogów arkadyjskich.

Z krańców świata — przypuśćmy — zjeżdżali podróżnicy, radzi ujrzeć dziwo, chwalone i wielbione powszedy w memoire'ach i galantnych leksykonach, w listach filozofów i komplementach cesarzy. *La princesse palatine* oprowadzała gości sama.

Właśnie przebiera się w kostjum greckiej kapłanki i kładzie na szyję złoty łańcuch z kluczem brylantowym do wrót świątyni; już przywołała na pamięć najtęskniejsze cytaty z poetów świata i będzie objaśniać swe zbiory językiem Tassa, Klopstocka, Delille'a i Milтона.

*J'ai fait l'arcadie et j'y repose.* Stworzyłam sobie Arkadję i w niej odpoczywam. *M'invallo altrui per ritrovar me stessa.* Odbiegam drugich, aby znaleźć samą siebie. Sama tak pisze i myśli.

Z łona czarownych gajów wybiega w przestwór woń niebiańska. W kasoletach płoną wonne hubki i tybetańskie czar-ziola.

W pośród kłębów słodkiego dymu kadzielnic rysują się kształty świątyni.

Drżycie z podziwu wy, co tu wchodzi-  
cie.

U stóp posągu bożka milczenia przy wej-  
ściu ciurka z ust srebrnej amfory pachnąca  
woda różana. Na rozkaz kapłanki ochłodzisz  
w tej wodzie, wędrowcze, sprószone codzien-  
nością członki. Nie ty pierwszy! Już przed-  
tem uczynili to Delille i Aleksander I, omal  
że nie Katarzyna II i prawie Napoleon Bo-  
naparte.

Na marmurowym ołtarzu płonie wśród  
drzew pomarańczowych święty ogień, któ-  
rego strzegą posągi westalek.

Organy, ukryte w przyległej niszy, unoszą  
na falach tonów duszę gościa wzwyż. A sami  
aniołowie — jak świadczy inskrypcja w ma-  
honiu rznęta — wychylają się z niebiosów,  
by posłuchać, jak gra i śpiewa kontraltem  
Helena z Przeździeckich Radziwiłłowa.

Pod boazerjami ścian wiekowe krzesła  
rzymskich senatorów, na malachitowych sto-  
łach bezcenne okruchy rzeźby helleńskiej,  
wazy, formingi, trójnogi i urny.

W górze białoskrzydła Jutrzenka Norblina  
pochodnią dnia jasnego otwiera szafirowe  
wrota świtu...



A przy świętym ogniu wyroczni czatuje na westalki miłość i „przyjmuje w sekrecie holdy, którychby jej jawnie złożyć nie śmiało...”

Maluchny amorek z marmuru śpi na murawie. Psyche opuszcza lampę z niebiosów, świecąc mu prosto w oczy. Oby go tylko zbudzić nie chciała!

Z świątyni prowadzi kapłanka gości tajemną ścieżką ku dalszym i osobliwym skarbowom gaju bogów. Tu zachwyca ich Panteon, wsparty na kolumnach w „porządku gotyckim”, tam łódź Charona na jeziorze. *Hélas!* I pasterski szalet leśnego Pana, lub glazy rzucone ciężko ręką Tytanów. I kryształowy pałac o ścianach z powietrza. I Kleopatra w białym alabastrze na trawie.

W czystym i wzniosłym przybytku sztuki helleńskiej znajdzie też dla siebie niejedną siurpryzę łzawo-czułe serce epoki. Oto „kaplica tybetańska” i „przybytek gocki”. Oto „grobowiec złudzeń”. Okrąża go „rzeka zapomnienia”, rozlewając zwolna swoje ciche nurty wpośród płaczących wierzb, które tak boleśnie odzierają życie z uludy. Albo „ustroenie melancholji” wraz z „świątynią dumania”.

Albo „przybytek nieszczęścia“ i trzy przy nim ołtarze: „miłości“, „przyjaźni“ i „wspomnienia“.

Pod lukami starożytnego akwaduktu perłą się szumiące nurty kaskady i „wpadają z łoskotem w otchłań jeziora, w którego lustrze niebo i gwiazdy widzą się zadziwione!...“

Ta myśl o zadziwieniu nieba, ta myśl... godna jest pióra Milтона — wykrzyknął pewien Francuz, usłyszawszy ów frazes z ust wojewodziny. I z apetytem zjadł kolację.

Tymczasem w kryształowe ściany ośmiokątnego pałacu z powietrza wbiegł promień księżycy, i przejrzawszy się w każdej szybie zosobna, utonął w głębi przejrzystych fal jeziora.

W sypialni rozsunęła się draperja z japońskiego jedwabiu i szarym półcieniem koi „wzburzone flukta wyobraźni“. Kompas z złoconego brązu ukazuje godzinę spoczynku...

Szczęśliwcy, którym dane było zwiedzić te cuda, języka zapominali z zachwyty. I wielu było takich, jak baron Heyking, poseł kurlandzki, który powróciwszy z Nieborowa w roku 1784 notuje w swym pamiętniku:

„Arkadja, to czarodziejskie dzieło wróżki! Jej piękno nie da się opisać! Księżna była na tyle łaskawą, że mi sama cuda owe ukażała. Gdy przybyliśmy wreszcie do akwaduktu i ogarnęli cały urok położenia, wówczas ten szum wody i zieleń drzew, te zapachy dziwnych kwiatów i woń aromatycznych ziół przyprawiły mnie o rozkoszną niemoc. Z zachwytu omdlałem. Aby nie upaść, oparłem się o pień drzewa i zdołałem wyszeptać: Wybacz, księżno, ale to wszystko jest tak nieziemsko piękne, że nie mogę... Podała mi nieco wody kolońskiej i zauważyła z uśmiechem, że w taki sposób nikt jeszcze nie pochwalił Arkadji!“

Powązki były zdystansowane, zaćmione, przewyższone, pobite! Dumnej strażnicze polskiego Trianonu nie zostało nic innego, jak uznać swą klęskę i odstąpić wojewodzinie palmę poetyczności. Cacana bezmyślność Powązek przybladła silnie wobec klasycznych, masywnych kształtów Arkadji. Arkadja piękniejsza, Arkadja, o zgrozo, kosztowniejsza!! Szły o tem wieści i dobiegały generałową. Uśmiechała się. Na szczęście było to już wtedy, kiedy i w jej oczach straciła



urok zabawka młodości. Wcale nie dała za wygraną. W cichości gotowała się do ciosu, który miał pognębić rywalkę, ciosu, na który już nie było riposty.

Stworzyła Puławy.

Tu jej już Radziwiłłowa nie dobiegnie, nie prześcignie. *Voilà!* Na harfie uczuć wojewodziny brakło bowiem zupełnie patriotyzmu. Miała tylko jedną ojczyznę i знаła jedną miłość: Hellady. „Milsza nad inne arkadyjska ziemio, tyś mi najdroższa między krainami! — mówił głośno po włosku kamień w „świątyni dumania“ — i mówił szczerze.

Takiej metamorfozy, jak jej przyjaciółka, wojewodzina wileńska przejść nie mogła nigdy. „Matką spartanką“ zostaćby nie umiała. Tu się ich drogi rozeszły. Pozostała zawsze konsekwentną, uporczywą, rokokową snobicą.

W całej Arkadji, jak i w samej pani, nie powstał nigdzie choćby cień, choćby jedna „luba pamiątka“ tuziemstwa. Były tam tyf-tyki ze skarbeca Tippo-Sahiba, sandały ludożerców z wysp Otahiti, wykopaliska greckie i to z daru Katarzyny II, były wreszcie in-

skrypcje włoskie, angielskie, łacińskie, francuskie. Z wszystkim co polskie ks. Helena była w wojnie. Także z gramatyką i ortografią. „*Szczęśliwe czasy nas klucili niechże smutne zdarzenia nas połączy*“ — oto perelka jej stylu w liście do Albertrandego. Do Stanisława Augusta pisywała często „z największo ufnością“ na świstkach papieru niedbanych, jak do stróża.

Więc gdy w Puławach cudzoziemskość polszczała w Arkadji — polskość cudzoziemczała.

Lecz *princesse palatine* wiodła dalej bój z rywalką. Choć już dawno były na świecie Puławy, ona ciągle jeszcze współzawodniczyła z — Powązkami.

Adorują się wzajem bardziej, niż wpierw. Każda nosi na piersiach miniaturową przyjaciółki w drogocennym medaljonie, a pukiel włosów ks. generałowej tak umieszczono nad łóżem pani arkadyjskiej, że musiało tam paść jej pierwsze wejrzenie po obudzeniu ze snu. Podróżując, woziła wszędzie z sobą marmurową „biustę“ przyjaciółki wśród kwiatów i świateł, aby zaś „wspomnieniem osłodzić boleść rozłączenia“ rozkazuje Norblinowi ozdobić swą sypialnię — widokami Po-

wązek. Najsłodsze listy piszą do siebie codziennie. Np. wojewodzina: Zaraz do ciebie przyjadę tylko... zrobię, duszeczko! Ten rozkoszny frazes jeszcze po latach rozczuli wojewodzinę: *Ce monument précieux de la simplicité de nos moeurs!*

Nienawidzą się bardziej, niż kiedykolwiek, ale oficjalnie wojewodzina wprost zachwycona Puławami, generalowa wprost oczarowana Arkadją! „...Przyjęła nas cudownie, — pisze Czartoryska do syna — sposób, w jaki przyjmuje gości jest równie uroczy, jak ona sama. Arkadja przepyszna! Właśnie ukończono salon w świątyni. Starożytny łuk już gotów. Ma zupełnie pozór antyku!“ Nawzajem Radziwiłłowa w jakimś liście: „Zwiedziłam świątynię Sybilli. Wobec tego majestatu piękności dziwię się, jak moja malutka Arkadja mogła zyskać tyle sławy!“

Pocichu natomiast wykpiwa „szczudła puławskie“ i „te patryjotyczne exaltacje“. *Cette fausse société de Puławy!* — Cytat z intymnego listu — *Il n'y a pas un mot de sincérité dans tout cela!*

Ciągle wzajemne upominki, siurpryzy, *cadeaux*. Arkadja posyła w darze Puławom



pierścień Lutra i zbroję Żółkiewskiego, bo takich rupieci nie zbiera. Czartoryska wniebowzięta: „Żebyś mi błota, albo swój stary pantofel przysłała, będę go cenić i wiecznie, wiecznie chować“! Odwzajemni się za wszystko darem istotnie bezcennym. Za jej wstawieniem się boski Delille w drugim wydaniu „Ogrodów“ dodał wzmiankę o Arkadij. Obie czytały z rozczuleniem: wojewodzina zachwycona gestem rywalki, generałowa porwana swą własną wielkodusznością. I dumna: „Przynajmniej kontenta jestem, moja duszeczko kochana, że pragnienie moje, aby tę Arkadiję podać w nieśmiertelność, dopełniło się!“

Potem ich drogi rozeszły się gwałtownie. Gdy „matka spartanka“ trwała mocno na gruzach Puław, czując się z dniem każdym coraz gorętszą Polką — *la princesse palatine* wywędrowała szybko nad Newę. Dama portretowa Katarzyny II. stała się najpokorniej uniżoną aljantką Petersburga i szła na czele korowodu służalców, którzy po trzecim rozbiorze zalegli stolicę imperjum. W epoce napoleońskiej wróciła i, aby dać dowód swej neutralności, oczekuje w Arkadij przyjścia

Wielkiej Armji w uroczym szlafroku chińskim! Połączyły się z Czartoryską węzłem nowego powinowactwa przez małżeństwo dzieci, lecz ognisko zawiści nie zgasło. Przeciwnie, rozpało się na nowo po sukcesach ks. Adama i na widok popularności Czartoryskich w społeczeństwie. Po ogłoszeniu Królestwa kongresowego i chwilowym triumfie ks. Adama — Radziwiłłowa pisze z goryczą z Warszawy: „Matka ojczyzny“ (Czartoryska) przyjmuje gratulacje. I ja tam byłam, byłam, aby usłyszeć, że to tylko jej syn, *tylko* on jest sprawcą tego szczęścia“. Kapłanka Arkadji i przyjaciółka filozofów teraz dopiero dostrzegła, że jej najdroższa arkadyjska ojczyzna nie wystarczy. I westchnąwszy nad „grobowcem złudzeń“ zamknęła się w „przybytku melancholji“.

Więc która? Czy miał rację stary galant i komplemencista ks. de Ligne? Nie rozstrzygajmy, na miłość rokoka, nie rozstrzygajmy! — Niech będą obie, musiały istnieć obie. Bez nich nie byłaby sobą epoka stanisławowska.

**W** dramacie Gertrudy Komorowskiej, w melancholijnych dziejach Marji i Wacława usunęła się zupełnie z widowni jedna jeszcze uczestniczka i ofiara tragedji. — Nietylko uczestniczka, więcej: jej współtwórczyni i nieomal protagonistka! Nie słyszało się o niej dotąd tylko dlatego, bo ojciec Dumas nie z polskich dziejów wysnuwał swe powieści. Była zaś godną Dumasa i Szekspira także.

Duma i mądrość stanowiły treść jej życia.

I wysoki pęd ambicji, z których nieomal żadna celu nie osiągnęła.

I bujny rozmach celów szalonych, niespełnionych.

U wejścia do epoki stanisławowskiej stoi sama jedna. Starsza od tamtych, po francusku uczesanych, po łazienkowski cikliwych — falegrabini drezdeńskiej rasy, mądra, mściwa i zła. Z Brühlów Mniszchowa.



I trudno nawet aby mogła być inną. Stary, już wylatujący z siodła Brühl patrzył na to swoje dziewczątko z taką lubością, jak patrzy zgrany karciarz na ostatni, najpewniejszy atut. Brühl był chory i August III-ci niedomagał, widywali się rzadko. Więc chytry wyga, drżąc o utratę swej wszechmocności, posyła codziennie córkę z portfelem politycznym do szefa antyszambry. Aby po drodze nie wlaźł mu w drogę nikt inny. Spełniała pilnie życzenie ojca. Niebawem wszakże daje się odczuć potrzeba wyjaśnień, których nie umie udzielić królowi żaden kamerdyner. Młoda mężatka musi sama fatygować się do gabinetu króla Sasa. Przyszły biskup krakowski, dziś jeszcze pokojowiec królewski, Sołtyk, nieraz jej drzwi otwiera z atencją. „Konieczność tych właśnie ustnych wyjaśnień — dodaje, opowiadając o tem, następny król polski — stawiała się coraz częściej. Zaczem postanowiono, że codziennie o pewnej godzinie młodziutka Mniszechowa odwiedzać będzie starego króla“.

Z porannych konferencyj w gabinecie królewskim wracała z główką pełną marzeń. Czyżby ten zgrymaszony suweren tak ją

usposabiał? Chyba nie. Marzyła raczej o rozkoszach władzy, o pasji rządzenia kiedyś tym krajem, którego losy trzyma w ręku ukochany papa.

W tym samym czasie, we Francji, córka poborcy podatków w Vancoulers ani śni jeszcze o tem, że wkrótce zostanie — hrabiną Dubarry.

Ta zaś jej polska rówieśnica ma ledwie rok dwudziesty, ale już pojęła jedną rzecz zgola niezwykłą, dla polskich pań niepojętą: Że miłość jest tylko środkiem, wiodącym do celów słodszych i bardziej upojnych, że amor da się oswoić, a oswojony służy na dwóch łapkach — polityce. Amelja Brühlówna urodziła się już z tym sprytem starego lisa. Wychowano ją arcystarannie, sześćojęzycznie, pod okiem samej królowej w Dreźnie. Już jako dziecko wkradła się znakomicie w łaski Marji Teresy, z czego korzysta po wielokroć ojciec, wysyłając ją do Wiednia w przeróżnych a delikatnych aferach. Cynizmu i trzeźwości uczy się już wtedy. Dali ją potem za żonę grzecznemu megalomanowi i purchawce. Została Mniszchową, panią siedmiu starostw, generałową wielkopolską, grafinią Dukli.

Brühl, Mniszech i August III-ci, ojciec, mąż i król tak sobie ułożyli, że będą z niej mieć marjonetkę, ona zaś rychło zawładnęła niedoleżnym, puchnącym już ojezykiem, fafułą mężem i zamkniętym na pokojach Augustem. Stoczywszy zawziętą batalję z wszechwładną w sercu Sasa Steinówną-Lubomirską wzięła rząd nad pałacem króla i portfelem ojca. Już nie politycznym tylko, pieniężnym także. Rozrzucała z gracją fałszywe talary i uśmiechy. Wszystkie zwycięstwa partji dworskiej nad Czartoryskimi jej intrygą stały. Rozgorzała wówczas ambicjami, dla których korona tylko Polska była celem blahym, wcale nie najwyższym... *Elle a la fureur d'intrigue* — takie wieści odbierał o niej dwór francuski. *Instrument ordinaire des affaires les plus difficiles de son père* — pisał raz Paulmy, jej pierwszy celny strzał i łup. Monsieur Paulmy, obity z jej powodu serwetą przez jakiegoś Litwina, był pierwszym i jedynym chyba ambasadorem w Polsce, który nietylko uległ wdziękom sarmackim, ale nawet pod ich presją odmienił zapatrywania: stał się posłusznym pionkiem w bezwzględnych rączkach Brühlówny. „Jeśli chciała kogo zdobyć — wyzna później



człowiek, który nieraz poczuł na sobie bolesne ukąszenia jej ząbków, St. August — potrafiła w przeciągu doby poznać w lot wszystkie afery, szczególiki i anegdoty z jego życia. Wydawało się, że ma talenta wszechstronne. Taniec, muzykę, sztuki wyzwolone chłonęła z zapalem i chciwością. Ale nadto długo nie wytrwała w jednym upodobaniu. „Szła w kontr mężowi swojemu — dodaje do tego Matuszewicz — i na przyjaciół następowała, przykrości im czyniąc i rujnując“.

Podobno wcale nieźle malowała. Gdyby dobrze poszukać w ikonografji drezdeńskiej, znalazłyby się może minjatury pani marszałkowej. „Za obietnicę portretu małżonka mego minjaturą i łaskawą rączką Stryjenki Dobrodziejki malowanego po miljon razy rączki całuje“ — pisze w tych latach młodziutka Fryderykowa Brühlowa.

Lecz jesienią r. 1763 mało już czasu zostało na te sprawy. W ciągu kilka tygodni stara saska Rzeczpospolita jakby przestała istnieć. Umarł August III-ci i umarł jego Brühl, zostawiwszy dzieciom 200 tabakierek, 700 peruk i krzyżmo pustej rozrzutności w testamencie. Wiekowy bój Potockich z Czar-

toryskimi wchodził w nową, rozstrzygającą fazę. W powietrzu czuć było Polskę nową, stanisławowską. Więc wszystkie pasje Aspazji czy Maryny carycy rozpierały teraz Mniszchową. Aby uratować dziedzictwo... Tysiącem intryg i posunięć ożywiała szanse partji saskiej i hetmańskiej, kołatała w Dreźnie i na dworze wiedeńskim. Bezkrólewie miało być próbą sił.

*La Mniszech* — tak pisze Marja Teresa po ogłoszenia bezkrólewia do córki — wydaje mi się teraz nieco mądrzejszą i spokojniejszą, choć ciągle jeszcze strzela lekkomyślne głupstwa. Mówiłam z nią dwa razy... odpowiadała pokornie, że z rozkoszą poprze nasze zamiary, że w Polsce bez wojska i pieniędzy nic zrobić nie można, że raczej da się zabić, niż zgodzi się ujrzeć na tronie kogoś z Czar-toryskich!“

Ujrzawszy nie zabiła się, ale oszalała na krótko z wściekłości. Rachuby saskie i hetmańskie przepadły z kretesem. A nadomiar wszystkiego ten elekt! Już przed 6-ciu lat znienawidziła go jeszcze w domu matki i jak gdyby w przeczuciu „chłostała stolnika wyniosłą afektacją“. On zaś twierdzi w pa-

miętnikach że „palnął wtedy głupstwo, którego sobie nie daruje nigdy“. Albowiem „nadto wyraźnie dał jej poznać, że szkoda czasu, bo nie jest do wzięcia“. Za ten afront i rekę będzie pani Amelja przez dobrych lat dzie sięć nadgryzać forniry ciolkowego tronu.

Teraz zaś po elekcji, wyniosła się jak furja z Warszawy. (Pierwsza wprowadza w modę te wyjazdy. Jak ona do Dukli, tak Branicka do Białego Stoku, potem Czartoryska do Puław, a ks. marszałkowa do Francji. Wszystkie obrażone!)

Tłumik i zmiana tonacji. Narodziny tych wszystkich wspaniałości, które z wdzięcznością wpisała do swych inwentarzy historia sztuki naszej. Obok francuskiej w każdym calu Arkadji, obok angielsko-wersalskich Puław, Dukla, tak jak i jej pani, uosabia kulturę saskiego rokoka w Polsce.

Pałac, ogród, teatr, muzyka.

Terasy, baseny, szpalery, fontanny i prze dziwne plantacje. Buduar z oliwkową boazerją. Sans-souci.

Klamki złożone Louis XV. Nymphenburg. Salon w chińskie kwiaty. Drezno. Sasi budują, Sasi malują plafony, grają w kapeli,



reżyserują w teatrze, Sasi w gwardji pałacowej i konfesjonale.

Buduje pani Dukłę, dyszy pomstą i czeka. Paziów swych z czasów panieńskich obdarza teraz pałacami.

Za męża ma „serce i rozum“. A i ten wkrótce, gdy go ominie laska marszałkowska po Bielińskim, pójdzie przeciw królowi.

Jeden nagi amorek stanął na cokole bramy pałacowej. Zaś w buduarze drugi służy, piesek posłuszny jak dawniej, na linewce. Po niešťczęsnym Paulmy'm cierpi srodze Imć Wielhorski, który „ściska jejmość najpokorniej za paluszek serdeczny i weneruje (w listach)“.

Niech ściska. Będzie potrzebny.

Angelo Durini, patrycjusz medjolański, arcybiskup ancyrański i nuncjusz papieski w Warszawie, poeta i najrozkoszniejszy z labuściów wzdycha i składa ody; płyną całe strumienie rymów łacińskich:

Sama będąc w swym domku zwykle Lukrecyja  
Gdy bieluchnym paluszkiem przedzę z wełny  
zwija,

Do cichego ustronia z dobytym Tarkwini  
Wpadnie i mieczem cnotę wydrze gospodyni.

Tak pisze najmilszy nuncjusz. Niech pisze. Będzie potrzebny.

Sama też pani ćwiczy się pilnie w polskim dukcie i słowie. „Nie uwierzysz Wać Pan — jak ja teraz ślicznie i po polsku piszę, prawda, że z bardzo pokorną miną“.

A w tem zaczęto w Barze na larum dzwonić. Z najświętszą Panienką na sztandarach poszły konfederaty przeciw Rosji i królowi.

Zaś z nimi w pierwszym szeregu — marszałkowa z Dukli. Obok Bohusza i Puławskiego tuż. Odbiegła architekta i ogrodników. Najpierwsza patrjotka, najgorliwsza zelantka barskiej roboty najofiarniejsza z niewiast, najmędrsza z dyplomatek.

I to kto? Rodzona Brühla córka. Skądże? A z zemsty. „Najśnadniejbym porównał ją do Armidy — woła gdzieś zachwycony, przysłany do spraw barskich Dumourier — *mais voilà* konfederaci nie byli bohaterami Tassa!“

Przystawszy do Generalności, Armida z Dukli zastawia cały skarbiec klejnotów i bierze się do roboty. Ważą na szali jej atuty: znajomość ludzi, trzeźwy spryt i wdzięk kobiecy, używany do akcji — bez zastrzeżeń. Wspomogła prostych rycerzy wszystką finezją

brühlowsko-saskiej chytrości. Tłumaczy im czego od kogo mają chcieć. „Smażonym w cukrze językiem“ prowadzi dyplomację, poruszając swe wszystkie parantele w Dreźnie, Wiedniu, Paryżu. Sama w nieustannych rozjazdach między Duklą, Preszowem, Cieszynem.

Nigdy w życiu nie zebrała tylu hołdów, nie podbiła tylu serc. Lubi tych ciemnych, nie pachnących zagorzałców.

„Takową moc osiągnęła nad umysłami, że w trudnych okolicznościach jej przewodnictwa szukają ziomkowie, że jej wpływu błagają nieraz Viomenil i Dumourier. Co w naradach przyjąć, co odrzucić, ona nakazuje“.

Pogodziła Pułaskiego z Generalnością, uśmierzyła niechęć Krasińskiego do Wessla, ma „insze damy“ na komendzie, bacząc, aby w poczciwości nie strzelały głupstw.

Nie umieją się dość nadziwić. Mówią, że „w czynach tęga a całkowita“, uwielbiają chytrą ślicznotę, która zapędza w kozi róg dyplomatów prześwieatnej Generalności. A wiodąc tę swoją wojnę z panem Poniatowskim sama nigdy nie pojmie nawet, jak wiele tem



dziełem zemsty przysług oddała niechęcy polskiej racji stanu.

*Le petit démon* Dumourier stracił dla niej zmysły. Przydało się i zostało doskonale wyzyskane. Zauważyła, że Miączyński i Sapieha ujęci są dziewczęcym urokiem jej córki, jedy-naczki. Skorzystała, by ich uczynić powol-nymi sobie.

Niech tam pani Grabowska wybiera się do Paryża z prośbą o protekcję Ludwika XV dla Stanisława Augusta — pani dukielska tymczasem już zrobiła swoje. Jej sumptem pojechał nad Sekwanę stary adorator Wiel-horski i działa wedle wskazań. Już zdołał zafantować na rzecz konfederacji jakieś me-ble, które pocziwa mamą Geoffrin zaku-piła dla Poniatucha.

Jest chwila, w której plan Mokronowskiego, aby głową konfederacji ogłosić... króla, ma widoki powodzenia. Mniszchowa, chcąc za-mysł taki unieścić, czyni odrazu akces do skrajnej lewicy i przystaje do tych, co krzy-czą o „głowę tyrana i uzurpatora“, o tapiro-waną głowinę króla z Łazienek.

Jej tak dalece tylko o stolnika chodzi, że wystarczy jedna pogłoska, jakoby biskup

Krasicki dał się przekupić królowi, aby marszałkową nakłonić do rzucenia hasła: A zatem otrujemy biskupa.

O tę całą konfederację ma wieczne utarczki z mężem. Obiecuje nieufnemu, że tylko pa-trzeć, a przyjdą posiłki cesarskie, saskie, francuskie. Na to marszałek: „Jużby z Ame-ryki południowej raki do tego czasu na po-moc przyłazły!“ Rzekł i wrócił do króla. Bo „przeciw płynącej trudno płynąć jest wo-dzie“. Zaczęła i ona przeczuwać, że i tym razem batalji z p. Poniatowskim nie wygra. Jej rówieśnica we Francji i krewna duchem córka poborcy podatków w Vancoulers, o ileż dalej doprowadziła w tym czasie! Z kapelu-szem w dłoni szedł Ludwik XV za koleina-mi wolanta pani Dubarry.

A już losy gotowały trzeci i najcięższy cios niesytem ambiejom grafini dukielskiej. Za-wiedziona sama w rachubach życiowych prze-niosła je wszystkie na dorastającą jedynacz-kę. I jeden był tylko młodzian w Rzeczy-pospolitej, którego z radością uzna za zięcia: Szczęsny!

Marjaż Żozefinki z delfinem królika Rusi oto marzenie Mniszchów. Umyślili go sobie

i ukartowali zdawna. Wszelako pan wojewoda kijowski patrzył bardzo wysoko. Najstarszą jego córkę wziął był wprawdzie ongi w r. 1759 brat Armidy barskiej, rozkoszny szalaput, generał artylerji Brühl. Ale to było w czasach innych. Jeszcze wtedy stary Brühl trząsł Polską i Augustem III-cim. W miarę jak słabło znaczenie Mniszcha, spadały i szanse małżeństwa. Więc po elekcji stolnika widoki opadły w okamgnieniu. Pan wojewoda kijowski cofnął się ostrożnie i czekał. Tylko z córką potężnego Mniszcha chciał ożenić syna. Marszałkowa Mniszcho-wa westchnęła: I ona także już oddawna chciała być żoną Mniszcha-potężnego.

A gdy dopust nagły wstrząsnął mocarstwem Potockich, gdy Szczęsny poślubił Gertrudę — pani Amelja poczuła skorpjony w sercu i turbację niesłychaną. Dotknęło ją to może więcej, jak ich. Z pomocą, radą i sprytem jedzie do Krystynopola. Szybciej jeszcze gna końmi rozstawnemi niż wówczas, gdy w ciągu godzin 30-tu zdążyła na wezwanie Dumouriera do Preszowa.

Na wielkiej radzie familijnej rzuca zbolalym państwem Potockim myśl mądrą, prostą



i chytrą. Najłatwiejszą także i zgoła naturalną. Aprobowali projekt ojciec i matka Szczęsnego. Był taki: Trzeba i należy, aby tę synową nieproszoną z domu jej porwać „jakim niebądź sposobem“, uwięzić i osadzić we Lwowie. Gdzie? Najlepiej w klasztorze mniszek, w którym Potocka przeoryszą. Niechże tam na rozmyślaniach siedzi i czeka, póki rozwód z Rzymu nie nadejdzie. Pod ten czas Szczęsny ze szwagrem swym, grafem Brühlem, pojedą na wояż do ciepłych krajów.

Zaś rozwód przeprowadzi w Rzymie nuncjusz Durini, łaszący się zdawna pani marszałkowej, ten, który pisał: „Sama siedząc w swym domku zwykle Lukrecyja...“ Daje mu się z miejsca tłuste probostwo i pisze bardzo łaskawy list. List przemądry wydał się nuncjuszowi „prześlicznym“, odpowiedział zaraz na czterech ćwiartkach, submitygując się i składając we czworo: „*Votre Excellence* może być pewna, że się wydzieli sprawiedliwość najściślej... Nie lękaj się Pani, aby niegodna intryga zwyciężyła w Rzymie. Ja zdołam ją uprzędzić etc. Ty, Pani, jesteś ozdobą Rzeczypospolitej“ etc.

Zaczęła się równocześnie akcja, dyskretna, śliska, dyplomatyczna. Przez cały czas tajemniczych zachodów Dukla współdziała z Krystynopolem kordjalnie. Mniszchowa nie oddała się ani na chwilę z pałacu o 300 pokojach. Ma do pomocy cały sztab sekretnych współpracowników pod wodzą l'abbé'go Delisle i czarnego człowieczka z Włoch, którego zowią Manzuanim. Cały spryt Brühlówny w tem, aby robota była niewidzialna, ślady zatarte, a jej osoba w cieniu.

To też znikły, a na horyzoncie snują się jedynie ciemne figury posiepaków, Wilczka, Dąbrowskiego, Szpilki.

Przez styczeń i luty pani marszałkowa nie opuszcza Krystynopola.

Trzynastego lutego 1771 porwano Gertrudę uduszono i utopiono. Z czyją wiedzą i aprobatą niewiedzieć. Słuch o losach Gertrudy na razie zagał. Rozbiegli się po całej Rusi ludzie, zaprzeczający plotkom i gadkom. Durini, choć wiedział o wszystkim, czynił dalsze, już głośnie i demonstracyjne, starania o rozwód.

Czy wszystko, co się stało, było z wiedzą inspiratorki? Pełne tajemniczych aluzyj są

listy, które w tym czasie odbiera, w archiwum listowem Mniszchów wytrzebiono wiele kart z tych właśnie miesięcy. Zaś domowa tradycja dukielska wkłada jej w tej chwili w usta słowa lady Makbet:

...Przybądźcie duchy, karmiciele  
Zabójczych myśli, z plei mię wyrzucie  
I napelnijcie od stóp do głowy  
Okrucieństwem!

Rok blisko ukrywano zbrodnię. Królik wołyński zadrzał chyba pierwszy raz w życiu, drżeli wszyscy, Brühl-Telemak i nawet Szczęsny, Bogu ducha winien w obawie, żeby im „jawnie kryminału nie zadano“. Wojewodzina, przed którą rzecz tajono, umarła pono z żalu, dowiedziawszy się prawdziwej prawdy.

Zabójców usunięto szybko, ślady zatarto, lecz gadki biegały mimo to po kraju uporczywie. Prawda ukryła się jednak wśród niepokojów wojny konfederackiej i rosyjskich łupieży. Dopiero groźba okupacji austriackiej wzmogła trwogę w Dukli i Krystynopolu. Widmo trybunału wiedeńskiego... Koszmar skandalu! Mniszchowa chce wyprzedać się ze starostw, wyjechać zagranicę. Czuje



w sercu nowe skorpjony. I nagle wpośród tych myśli, w nieskończonym pałacu, parku i teatrze umiera, nie zostawszy teściową Wacława i Marji. Trzydziestego kwietnia 1772. Na dwa miesiące przed zajęciem Dukli przez szwadrony kawalerji austriackiej. Nagły zgon tej 36-letniej, zdrowej i pełnej życia kobiety okryła natychmiast tajemnica. Nic doszukać się o nim ani jednej wieści w listach i pisanych gazetkach. Zrozpaczony mąż każe bić złoty medal na jej cześć i stawia mauzoleum wspaniałe. Dobrze wytresowany monsignor Durini składa łacińskim rytmem dzieśnięć ód na cześć dobrodziejki, porównując ją do wszystkich bogiń Parnasu. „Była świetlistą gwiazdą Saksonji, była świetlistą gwiazdeczką Polski“...

A w ziemi dukielskiej krążyć ją odtąd uparta tradycja, że mściwa pani nie zmarła śmiercią naturalną, lecz zginęła samobójstwem. Z wyrzutów sumienia, z obawy skandalu.

Przegrała wszystkie stawki życia. Przegrała Wolę i Bar, przegrała marjaż córki, spokój duszy, i zażyła truciznę. Wcale prawdopodobne. Marji z Chłędowskich Pomezan-

skiej opowiadał o tem proboszcz dukielski i starzy słudzy pałacowi w r. 1850. Na tle tem osnuła staroświecki romans o Gertrudzie i jej duchowej zabójczyni. Umierając Mniszchowa mówi w tej powieści do córki: „O córko moja! I dla kogóż to rzucam się w otchłań piekła, dla kogo podwójny występek morderstwa i samobójstwa ciąży na mej duszy?... („G. Komorowska“, Lwów, 1856, t. III, str. 186).

W dwa lata później zeszedł siew ambitnej intrygi. Na tym samym zamku dukielskim zaślubił Żozefinkę ten sam Szczęsny Potocki. Dumna i wspaniała rezydencja marszałkowej Amelji wezbrała życiem. Na pałacowem theatrum grały się co tydzień — o skora losów odmiano! — najprzedniejsze komedje. I młoda pani, córka lady Makbet, występowała wśród aktorów także. Grała w komedji Bohomolca „Rada skuteczna czyli małżeństwo przymuszone“, grała w „Igrzysku miłości“, gdzie przedstawiono „scenę w Dukli“, w domu hrabiego.

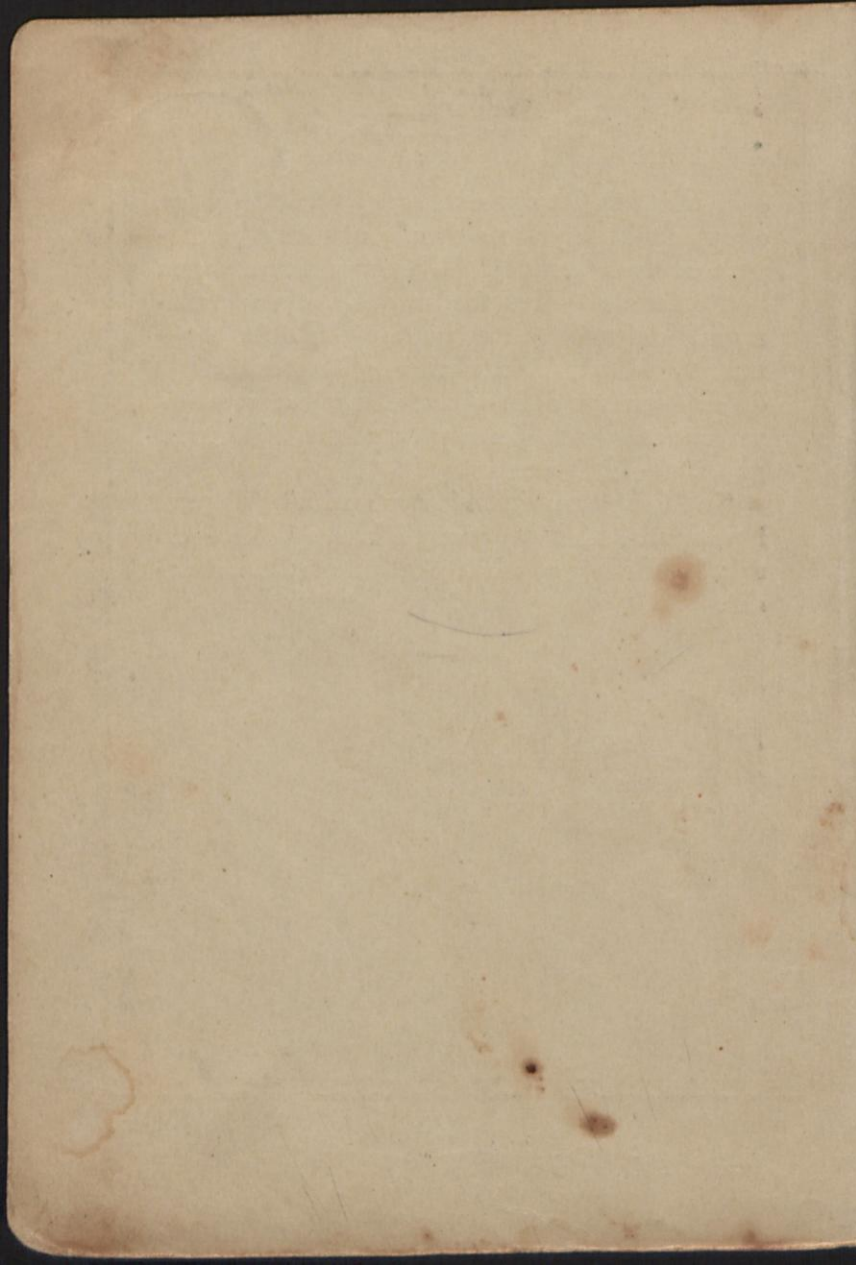
Podtenczas w kościele dukielskim stanął gotów grobowiec.

W sukni z indyjskiej tafty, w płaszczu

*à la Watteau* leży w cudownej pozie uśpiona  
oczy przymrużyła, za chwilę otworzy je zno-  
wu i zacznie czytać. W tym marmurowym  
konterfekcie — kto wie, czy nie najwspaniał-  
szym, jaki nam został po kobiecie rokoka —  
zaklęta w łomy jasno-żółtego kamienia żyje  
do dziś grande dame drezdeńskiej rasy, mści-  
wa, mocna i zła, Szekspira godna i Dumasa  
godna — Mniszchowa.

Godzi się wspomnieć czasem imię tej pani  
i podumać nad jej winą i karą, ilekroć do  
rąk bierzemy poemat Antoniego Malczew-  
skiego.





SIOSTRA KOMPANJI DE MOPS

*Tyszkiewicza  
Król policza  
Między bliskie swoje  
Dał jednemu  
Dał drugiemu  
Swych synowic dwoje.*





Późnym wieczorem niechaj wyjedzie z domu kareta, sama, w sekrecie. Tak brzmiał rozkaz tajemny. Odziać się winna w białą robę, bez ozdób jakichkolwiek, wyjąwszy jedną: złoty kolczyk w lewym uszku. I niech z bijącym sercem zdąży na dziedziniec domu pocztowego w Warszawie (dlatego pocztowego, aby nie zwracać uwagi profanów). Tam spotka nieznaną kobietę, która przyłoży do ust dłoń, zwiniętą naksztalt mordki małego psa.

Włożyła białą robę i złoty kolczyk w lewe uszko, jechała z bijącym sercem, spotkała nieznaną kobietę. Nieznana kobieta wiodła ją chwilę za sobą w ciemnościach i oddała pod opiekę nieznanego mężczyzny, który trzymał w ręku płonącą pochodnię. Wiódł ją długo zaułkami, a gdy przyszli na miejsce objaśnił: izba, do której wejdiesz, zwie się IZBĄ PRZYGOTOWANIA. W komnacie obi-

tej ponsową materją nie było nikogo. Trzy świece woskowe płonęły na stole.

Dama w białej robie patrzyła i czekała, co dalej będzie. Wówczas zastukano trzykrotnie; z ukrytych w ścianie prawej drzwi wyszedł groźnym krokiem czarno odziany człek i rzekł ponuro, że jest Bratem Sztuarem. Potem zapytał damę krótko i ozięble:

— Czy przekładasz woń enoty nad wszelkie inne pachnidła?

Dama w białej robie odparła z zachwytem:

— O, tak! Przekładam.

Gdy jeszcze oświadczyła, że gotowa jest na wszelkie próby, które jej zadadzą, brat Sztuard uderzył młotkiem w stół. Z ukrytych w lewej ścianie drzwi wybiegła siostra Gorliwa. Miała białą fartuszek, białe rękawiczki i patrzyła czarno. Siostra Gorliwa zadawała pytania szybko:

— Czy czujesz się zdrową?

— Tak.

— Czy nie jesteś w ciąży?

— Nie.

— Czy nie cierpisz jakowej choroby kobiecej?

— Nie.

## SIOSTRA KOMPANJI DE MOPS

— Podejdz do izby, którą zowiemy IZBA ROZMYŚLAŃ.

Był to pokoik mały, zupełnie ciemny. Skrzesano światło. Dama w białej robie ujrziała, że pokój obity jest materją czarną, a świeca tkwi w lichtarzu z trupiej czaszki. Zrobiło się jej zimno i nieprzyjemnie. Obok na stole leżała szpada z blachy, zwierciadelko i — mops, piesek z kitajki, wypchany watą, z podniesionym do góry ogonkiem.

Teraz z drzwi ukrytych w ścianie wybiegli dwaj przyjemni panowie, którzy nazywali się braćmi Strasznyimi. Mieli czarne fraki, białe fartuchy i groźne miecze z blachy, których dobywszy, stanęli na straży u wejścia.

Wszedł brat Dozorca krokiem srogim i nakazał damie w białej robie spełnić natychmiast trzy rozkazy co do joty. Najpierw zdjąć podwiązkę z lewej nóżki, potem mankiecik z prawej ręki i ten złoty kolczyk z lewego uszka. Wszystko uczyniła rychło i posłusznie.

Wziąwszy podwiązkę, mankiet i kolczyk nakazał brat Dozorca damie, aby odtąd gardziła błyskotkami świata. I zlecił: niech jej siostra Gorliwa da przepaskę na oczy.



Odtąd dama w białej robie nie widziała nic z rzeczy, które się tam działy. A działy się rzeczy straszne i bardzo przerażające.

Najpierw orkiestra, niewiadomo kędy ukryta, jęła cichutko grać menueta w sposobie bardzo przyjemnym. Potem wstrząsnęły komnatą trzaski, huki i łaskoty w sposobie bardzo niemiłym. Znów na przemiany muzyka i grzmoty.

Ktoś spętał damie ręce żelaznymi kajdankami.

Na szyję włożono jej obrózkę mosiężną z kółkiem.

Uczuła, że jakieś drzwi otwarły się szeroko i prowadzono ją do wielkiej sali, wypełnionej tłumem braci i sióstr.

W tej sali cicho było. Nikomu nie wolno było ruszyć się z miejsca, ani słowa rzec pod karą dukata.

Dama w białej robie miała teraz z zawiązaniem oczyma przejść BRAMĘ MIŁOŚCI. Pod stopami uczuła miękką tkaninę. Był to KOBIERZEC SZCZĘŚCIA, na którym rozłożono SZNUR CNOTY. Po linji sznura miała przejść spokojnie razy dziewięć, nie zrażając się żadnemi przeszkodami.

## SIOSTRA KOMPANJI DE MOPS

Zaledwie zaczęła, gdy komnata zawrzała nowym gwałtowniejszym niż pierwszej łoskotem, wrzaskiem i krzykami.

Tłum braci i sióstr przybiegł z wszystkich stron łoży; krzyczeli: *memento mori*, uderzając w narzędzia różnego gatunku.

Szczękały blaszane łańcuchy, zgrzytały zęby, płakały Wieczne dziewice, krzyczeli bracia Dozorcy. Potem zamiauczał cicho mały kotek i zaczął wyć straszliwie bardzo wielki pies. Dama w białej robie nie ułękła się wcale. Kroczyła po linji Sznura Cnoty pewnie, z wdzięcznym uśmiechem na ustach i zawiązanych oczach.

Zwrócono jej uwagę, że tak nie można. Rytuał wymaga, aby trzęsła się i „drżała w wargach i kolanach“, a nawet omdlewała.

Więc trzęsła się i omdlewała.

Teraz ucichł wrzask, a przyszły próby cięższe i trudniejsze.

Brat Straszny przystąpił do adeptki, żądając ni mniej ni więcej, a tylko aby „wydobyła język z ust, ile można najdłużej!“ *Dialement mauvaise affaire!* Ile mogła wydobyła. Wówczas brat Straszny ujął to różowe maleństwo swoim urękawiczniwym palu-

chem i wedle zaleceń rytuału ścisnął mocno, „obracając różnie na lewo i prawo“. Mało tego: Jeszcze „taką jej zrobił imaginację, jakoby język miał zostać palony gorącym żelazem“. Dama w białej robie cofnęła się przerażona i upieczona.

Zkolei bracia przybliżali do jej oczu ostrza szpad swoich, tak jakoby je wykluć chcieli, a damy, mruczając groźnie, laskotały ją po przepasce kołcami grzebienia.

W tem miejscu rytuał wymagał, aby laskotana skowyczała, jak mały piesek.

Skoro tylko zaskowyczała, zdjęto łańcuch, który miała u rąk i przypięto do obróżki, a kilka par siostr i braci jęło adeptkę ciągnąć ku wzniesieniu, na którym siedział za stołem brat Mops Wielki Katedralny, z siostrą Mop-sicą Wielką.

Tu zastosowane czwarte i najważniejsze *punctum* rytuału, takowe:

„Kazą adeptce wybrać jedno z tego dwojga: czy pocałować Wielkiego Mistrza w sposób niewymowny, czy pocałować pod ogon pieska mopsa. Takich użyją przytem postrach, iż wreszcie adeptka ucałuje rzecz drugą.“



## SIOSTRA KOMPANJI DE MOPS

I bez użycia „postrach“, dama w białej robie ucałowała „rzecz drugą“.

A wtedy z poza stołu dał się słyszeć głos pytający:

— Kim jesteś?

— Jestem suczką, która pragnie zostać mopsicą i uczestniczyć w tajemnicach kompanji.

Głos inny:

— Zapytajcie o jej imię!

Uderzając lewemi rękoma o lewe uda, pytali bracia o jej imię.

Dama w białej robie sprezentowała się:

— *Comtesse Vincente Tyszkiewicz née princesse Poniatowska.*

Teraz zdjęto jej z oczu przepaskę. Ku referendarzowej litewskiej biegły ze wszystkich stron loży damy warszawskie z czułością i powinszowaniami. Uroczystość była skończona.

Jedyna siostra księcia Pepi została tego wieczoru siostrą 1-szej warszawskiej „kompanji de mops“ i z upojeniem wchodziła w drażniący tajemnicą świat kielni i białego fartuszka.

Znawca dziejów masonerji, p. Małachowski-Lempicki stwierdził, że p. Tyszkiewiczowa

była w istocie członkiem innej łóży, ale to rzeczy nie zmienia.

Miała lat dwadzieścia parę. Była starszą o trzy lata od ks. Józefa, a nie młodszą o dziesięć, jak uparcie twierdziła. Do chrztu trzymała ją Najjaśniejsza Marja Teresa i użyczyła swych imion, natura zaś obdarowała ją „imaginacją bardzo żarliwą“ — jak się wyrazi później pewien dyplomata. Tę *l'imagination ardente* można było zauważyć u dziewczęcia już wcześniej, najpierw za jej wiedeńskich, wspólnie z ks. Józefem przepędzonych lat. „Ofiarą jej padło oko księżniczki, nie wiedzieć w jakim przypadku stracone“. Zastąpiła je szklanem i odtąd nie mogła być piękną, a długie pukle blond włosów opuszczała nieco na lewy policzek. „Wychowanie — zaznacza dalej ten sam dyplomata — przyzwyczaiło ją do frywolnej rozrzutności i obudziło w niej rozhukaną żądzę użycia“. Z tego powodu musiano raz w Białym Stoku rozebrać kosztowny piec, do którego nieopatrznie wcisnęła się, przyłapana przez guwernantkę na jakimś nieodpowiednim uczynku z p. starostą mielnickim, o czem zresztą pani Gutakowska, jedyny

## SIOSTRA KOMPANJI DE MOPS

świadek zajścia, niczego więcej powiedzieć nie chciała.

Uważając, że jest jedyną autentyczną księżniczką Poniatowską, — bo ojciec wpierv został księciem Rzeszy, zanim inni bracia, po wstąpieniu Stanisława Augusta na tron, uzyskali na sejmie tytuł książęcy — marzyła o marjażu, który niechybnie ułoży dla niej Najjaśniejsza matka chrzestna.

W tym celu strzegła się pilnie tych wszystkich bałamuctw sarmackich, jakie już w czasach szarmanterji wiedeńskiej interesowały jej brata. Pisała się princesse Poniatowsky, była córką hr. Kinskiej i feldzeugmeistra, księcia Rzeszy. Niczem więcej. A wtedy król Stanisław August zamianował ją — panią Tyszkiewiczową. Czuł pono taki do tego rodu sentyment, że gdyby i dziesięć miał synowic, pewnie bez wyjątku wszystkie dostałyby się Tyszkiewiczom. Synowic było na szczęście tylko dwie: Konstancję, córkę podkomorzego, wziął Tyszkiewicz hetman, Teresę, siostrę ks. Pepi, Tyszkiewicz referendarz. *Ce vieux singe* — mawiała dobrotliwie p. Teresa o swym małżonku, który ją poślubił i zawiózł do Świsłoczy w r. 1778. Wiel-



ki referendarz litewski łączył w swej osobie wiele cech pod każdym względem niecodziennych. Był otyły, nieśmiały i pedantyczny. Otyłość doprowadził tak daleko, że mimo wysiłki, nie zdołał nigdy wdziąć fraka, a rozlane swe kształty okrywał obszerną salopą, zapinaną od stóp do głów guziczkami księżej sutanny. Pedanterja doszła w nim do tyla, że gdy z Paryża napisał: przyjadę tego a tego dnia na wieczór do Świsłoczy, nie skreślił ani na godzinę. Wyjeżdżając do jakichś innych ciepłych krajów, obiecał Sapiieżynie z Dereczyna, że będzie u niej na św. Pelagję na obiedzie. Założyła się, że nie zdąży i przegrała, bo przyjechał.

Poza tem był pan referendarz człowiekiem światłym, szlachetnym, grzecznym i dobroczynnym. Z tych wszystkich powodów, a także przeto, że do stołu siadał po staremu o drugiej, nie lubiła pani Tyszkiewiczowa pana Tyszkiewicza, który naprawdę stał się teraz wielkim referendarzem, tj. „człowiekiem słuchającym skarg prywatnych i podającym je do ucha królewskiego“. Sapiąc na wielkim krześle z poręczami słuchał pan Tyszkiewicz gorzkich skarg swej uciś-

## SIOSTRA KOMPANJI DE MOPS

nionej małżonki, ale nie myślał wcale, by je podawać królowi.

Pochrześnica Marji Teresy siedziała na pokucie w Świsłoczy. Założyła sobie na wiosnę ogród fruktowy, potem lasek brzozowy, wreszcie labirynt grabowy, zbudowała zimą teatrzyk francuski, nad którym kiwały z podziwem głową stare żubry litewskie, nareszcie jęła na folwarku Klepacze wznosić minjaturowy pałac Louis XV. Pałacyk miał się składać z trzech salonów, jeden ośmiokątny wyłożony kafelkami, drugi żółty, trzeci zielony. Szczególnie do tych kafelków, między którymi miała być wanna ukryta w kanapie, zapaliła się bardzo i układała je pilnie. Gdy nagle rzuca to wszystko i ucieka. Uciekała z uczuciem młodej, zwolnionej z tortur czarownicy.

Sapiąc w szerokim krześle z poręczami dokończył pan referendarz z właściwą sobie pedanterją zaczętej przez damę roboty, i nie przestał nigdy kochać swej krótkotrwalej małżonki.

„Rozumiem, że ma być szczęśliwa z referendarzem“ — rzekł Stanisław August i zakazał jej wstępu na pokoje.

— Rozumiem, że humory Jego Królewskiej Mości Stryja Dobrodzieja nie potrważą długo — pomyślała sobie eks-referendarzowa, ufna że da sobie i bez tego radę.

Od tego czasu podwoje zamku królewskiego zamknięte były dla nieposłusznej siostrzenicy. Pocieszała się urzędem w. mistrzyni w warszawskiej loży adopcyjnej tak długo, jak długo nowość ta nęciła urokiem mody i tajemniczości. W czasie Sejmu Wielkiego, w epoce emigracji dostojnych dam, wyniosła się i ona zagranicę. Wszędzie jej było pełno, w Brukseli, Paryżu i Spa. „Hojna do rozrzutności, gotowa do prędkich uniesień, posiadała odwagę ponad płęć swą“ — zapewnia stary Niemcewicz. „Ale wybryki ośmieszały ją w oczach społeczności, zaś liczne błędy odstręczały przyjaciół“ — dodaje pan de Senft.

O detronizację króla Stasia nie modliła się nigdy, jak tamte inne, gdyż *malgré tout* stała w rzędzie jego adherentek. Z powodów łatwo zrozumiałych. Albowiem wówczas stryj przedstawiałby jeszcze mniejszą wartość finansową i nie byłby w stanie płacić coraz rosnących długów eks-referendarzowej. Narazie chował starannie w osobnym fascykułe jej



## SIOSTRA KOMPANJI DE MOPS

natrętne epistoły i — płacił jeszcze. Były to śnać pozycje nieblahe, skoro już z Grodna, na zarzut ks. Józefa, że się tak kurczowo i niegodnie trzyma korony, król odpowiada: „Muszę pokryć długi twoje i moje, muszę zapewnić przyszłość tobie i twojej siostrze“.

Ona zaś osobiście pilnowała w Grodnie, aby rząd rosyjski przejął także jej zobowiązania, przytem kokietowała starego Repnina i robiła nieustanne awantury p. Grabowskiej o to, że jej, jedynej autentycznej księżniczce Poniatowskiej, nie ustępuje miejsca.

Jedyna siostra księcia Pepi. A cóż ten brat na to?

Raz tylko w życiu wyraził otwarcie, co myśli. Wiosną roku 1812, tuż przed wyruszeniem w pole, dopadłszy chwili wolnej w rozgwarze pracy mobilizacyjnej, pisał ks. Józef: „Czas nie pozwala mi na spisanie testamentu podług aktualnych przepisów. Mam go tyle tylko, aby krótko wyrazić na piśmie moją wolę ostatnią. Tuszę, iż będzie tak wykonaną, jak gdyby utwierdzały ją wszelkie formalności prawem żądane. *Art. 1.* Siostrę moją, Teresę z Poniatowskich Tyszkiewiczową, ustanawiam moją uniwersalną spadkobier-

czynią. Zobowiązuję ją, aby z reszty spadku, jaka po mnie dla niej pozostanie, spłaciła niezwłocznie długi swoje, zalecam jej, żeby rozsądną była i nowych długów nie czyniła, a to końcem zapewnienia sobie na starość szczęśliwej spokojności“.

Zalecam jej, iżby była rozsądną... tak pisze Pepi, najlekkomyślniejszy Pepi, występując, chyba pierwszy i ostatni raz w życiu, w roli moralizatora. Zaleca, iżby była rozsądną a to „końcem“ rzeczy, o jakiej sam myśleć nie umiał i nie chciał, „końcem“ szczęśliwej na starość spokojności“.

Więc i jego gorszyła nawet! Może też nie uświadomił sobie nigdy, ile mimowolnych szkód i krzywd doznał od tej jedynej, bardzo kochanej siostrzycy. Tylko dlatego musiał w r. 1812 zadłużyć się u Napoleona, a swoje własne pieniądze pożyczał dla niej na gruby procent od Vaubanki. Plątała go w nieustanne kłopoty, wodziła po adwokatach i sądach, zresztą najlepsza, jedyna i niezastąpiona. Czyto wówczas gdy chodziło o „dyskrecyjne“ usunięcie konsekwencyj w aferach miłosnych, czy o sekretne *accouchement* zawołowanej principessy, lub konsolację zrozpaczonej sam-

## SIOSTRA KOMPANJI DE MOPS

ki, którą już rzucił, czy nareszcie o ciepłą i rodzicielską opiekę nad bastardami. Ci rozmaici Poniteccy i Chmielnicecy mieli w niej zawsze najczulszą mateczkę, i jeszcze w dwadzieścia lat po Elsterze madame Tyszkiewicz (*prononcez: Tischkewitsch*) będzie biegać po urzędach paryskich, by wyprosić dla nich nazwisko i legitymację.

Była najoddańszą siostrą i powiernicą ks. Pepi, lekkomyślnego filuta z pod Blachy, nie miała natomiast żadnych uczuć i ani krzty zrozumienia dla rycerza, któremu Bóg powierzył honor narodu.

Pochrześnica Marji Teresy czyniła wszystko, aby go sprowadzić z drogi „falszywej exaltacji“ i utrzymać w dawnym, wiedeńskim fasonie. Dość przypomnieć: Gdyby nie ona, nie poznalby nigdy Vaubanki. Stało się to w roku Insurekcji kościuszkowskiej, w domu pani Teresy w Brukseli. Patronowała wszystkiemu, co było pod Blachą smutne i złe. Chociażby owa głupia i zacięta wojna z Teatrem Narodowym: Obie z Vaubanką wysyłają swą młodzież na spektakle, aby hałasem przeszkadzała w grze. Warszawa nie zostaje dłużną. Tłum patryjotycznej



młodzieży gwizdże i wrzeszczy nazajutrz na teatrze francuskim. Jako dziewczica orleańska na szaniecach angielskich, jak Zofja Chrzanowska na murach Trembowli stawia czoło chamom polskim księżna de Poniatowsky, comtesse Tyszkiewicz (*prononcez: Tischke-witsch*). Wychylona z łoża dowodzi kontratakiem. Jednookiej antagonistce sceny polskiej dostało się nazajutrz słusznie w wierszu C. Godebskiego. („Krzyknęła zagrzewając stronników swych męstwo: Jam fortuna, bom ślepa, więc przy mnie zwycięstwo!“)

Leciały już ku Warszawie orły napoleońskie. „Przywiązana do Bourbonów, zawzięła się aż do nieroztropności przeciw nowemu rządowi. Odkazywała, że ucieknie precz, gdy tylko noga francuska postanie w Warszawie“. Wszelako nazajutrz pojechała pierwsza składać z śmieszną uniżonością wizyty metresom generałów napoleońskich, a w trzy dni później nie widziała świata poza Talleyrandem.

W starym, już prawie 50-letnim piecu zapalił nagle kulawy djabeł. Przywiedła lwica, biadająca ciągle nad utraconą młodością, — o której kronika buduarowa miała dotąd znikomo mało, kompromitując mało do powie-

## SIOSTRA KOMPANJI DE MOPS

dzenia — zakochała się. I to, powiada, pierwszy raz w życiu. Sataniczny biskup-apostata *qui mettait ses pieds dans tous les souliers*, który magnetyzował swym wpływem Napoleona, uroczym, coprawda, nie był. Tysiąc anegdot jęło krążyć w Warszawie na temat jednonogiego księcia i jednookiej hrabiny, która zanudzała go bałwochwalczą adoracją. Dzięki niemu zyskała nawet duże wpływy na politykę księstwa warszawskiego. Do tego stopnia, że gdy w styczniu r. 1807 ks. Józef został ministrem wojny, pani Teresa chlubiła się głośno, że to z jej protekcji!

Już w Warszawie zaczął się ten bakarat, którego miała z Talleyrandem grać odtąd przez lat dwadzieścia parę. W Neapolu i Brukseli, w Erfurcie i Preszburgu, w Cambrai i w Paryżu. Bo wszędzie wlokła się dama za kuternogą. Z miłością i z talją kart. „Codziennie dawała mu woreczek z 500 frankami, które tenże przyjmował i do gry wieczornej używał“. (L. Dembowski).

Osiadła wreszcie w Paryżu. „Nadwyrężywszy nierządem i marnotrawstwem znakomite mienie, utrzymywała jednak dom na wysokiej stopie“. „Na obiadach u niej — pisze



A. E. Koźmian — kilkakrotnie się z Talleyrandem spotykałem i zawsze go widziałem zajadającego i pijącego wybornie, lecz milczał jak głaz. Widać było tylko nudę cierpliwie znoszoną. Pani domu nie szczędziła starań, by go zabawić, by mu dogodzić, on na te usiłowania odpowiadał zimną obojętnością i milczeniem. Z początku bawił, wkońcu niecierpliwił widok tego nieczulego bożyszcza, głuchego i ślepego wobec najfanatyczniejszej z swoich wielbicielek“.

Do Tyszkiewiczowej zbiegało na hazard pół Paryża. Śmiertelna cisza i nuda zalegała salony, nieprzytomna żądza zysku dominowała nad wszystkim. „Skurczone, podejrzliwe twarze graczy, ponura, nieruchoma poza bankierów, wszystko to wydało mi się ohydą“ — zapisuje w swych pamiętnikach siostrzenica Tyszkiewiczowej, p. Potocka.

Starego djabła otoczył tymczasem cały orszak wędnących adoratorek: starawa już ks. kurlandzka, rosła jak żandarm, księżna de Luynes, spróchniała duchesse de Fitz-James, kaśliwa pani de Bauffremont. Oblędna zazdrość miotła bezustannie siostrzenicą polskiego króla. A gdy chmurny ks. Benewentu



## SIOSTRA KOMPANJI DE MOPS

uśmiechnął się choćby do murzynki Zoe, podającej herbatę, nieszczęsna adoratorka z dziką pasją rzucała się do kart i przegrywała resztki dziedzictwa ks. Józefa.

Przy boku eks-biskupa dożyła podwójnej siekierki. Łazienki sprzedawała Aleksandrowi I, klejnoty i kosztowności po bracie zdołała ulokować w lombardach francuskich, u Napoleona wyprosiła sobie podwyżkę pensji za zasługi brata, marszałka Francji. Nie tylko nie dopełniła warunków testamentu, ale nawet dla pozostałych po nim pamiątek nie okazała szczypty pietyzmu. Poszły pod młotek handlarzy lub rozbiegły się po świecie. Znosił Talleyrand damę cierpliwie, aż i przyzwyczaił się do pokornej niewolnicy. „Jak gdybym stracił część samego siebie“ napisze do Bacourta po jej śmierci († 1834). I spełnił ostatnie jej życzenie: ciało pani Teresy złożono w kaplicy Talleyrandów w Valencay. *Requiescat in pace.*

Nawet najbardziej lekkomyślne damy rokoka chowają przecież w zanadrzu jakiś jeden dobry uśmiech, jakąś, jedną choćby przyjemną zaletę, która ujmie nas wkońcu i każe przebaczyć im winę. Księżna de Poniatowsky,

\*\*\* TWARZ I KOBIETA \*\*\*

---

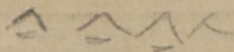
hrabina de Tyszkiewiczowa (*prononcz: Tischkewitsch*) jest pod tym względem wyjątkiem. Nie umie się uśmiechnąć i nie można jej przebaczyć!

## RÓŻYCZKA Z CZARNOBYŁA

*Ani płaczące nimfy przy twym grobie stoją,  
Których gładkość marmuru gasiłaby twoją  
Ani płacz przyjaciela i domowej rzeszy  
Błade go ducha twego nie pocieszy!...*

Dyzma Bończa Tomaszewski.





**L**ecz przytem uprzedzam mamę kochaną, że więcej do Polski powrócić mi się nie chce... A też żadna konsydera-  
cja mnie nie potrafi zniewolić do powrotu do kraju“...

I jeszcze potem:

„Proszę, aby droga mama raczyła o tem donieść mężowi memu, do którego nie piszę z obawy ściągnięcia odpowiedzi, któraby tyle mnie co i jego zasmuciła. Zresztą czuję się chorą i śmiem spodziewać, że już niedługo pociągnę to nudne życie moje... *Adieu* mammo! Nie zapominaj Twojej nieszczęśliwej córki!“

Tą nieszczęśliwą córką i żoną, która nie ma zamiaru wracać do męża i kraju, jest jedna z najpiękniejszych pań Sejmu czteroletniego, Rozalja z Chodkiewiczów Aleksandrowa Lubomirska, hrabianka św. państwa rzymskiego na Czarnobyłu, Myszy, Młynowie i Szkle. Czemu jest nieszczęśliwą i dlaczego uciekła?

Z powodów bardzo zwyczajnych, nieomal epidemicznych w Polsce stanisławowskiej, a zgóry rozgrzeszonych przez każdego ufryzowanego prałata. Miałabym siedzieć dalej w Opolu, wśród strupieszających bajczarek lubelszczyzny, dźwigających odwieczne mantolety na wysoko urodzonych czołach — ona, której nawet „Warszawa przednio nudną się wydaje“ i nie porywa jej nic z tego, co jest w tej chwili modne na Nowym świecie: ani czuły patryjotyzm ani komeraże polityczne, ani angielskie kroje p. Łazarewiczowej.

A ten mąż, o którym kwaśno wspomniano w pożegnalnym liście, ten sztywny, oszczędny i mało ciekawy pan na Opolu stracił właśnie jedyny tytuł, którym imponował młodej żonie. Bankructwo Teppera nadszarpięło mocno jego fortunę. Od roku już prawie hrabianka św. państwa rzymskiego o każde 500 dusiów musiała nagabywać swą świekrę z małym skutkiem, lub też upraszać panią matkę z jeszcze mniejszym. Gdy to wszystko przestało być zajmujące, wyjechała.

W ambarasach i grymasach młynowskiego pałacu, w starem gnieździe Chodkiewiczów, śmiała się jej młodość rozpieszczona. Opiewał



\* \* \* RÓŻYCZKA Z CZARNOBYLA \* \* \*

to Seweryn Rzewuski w rymach tak lekko powiewnych, jak jego hetmańska buława:

W liczbie przyjaciół, w amantów gminie

W grzecznej, wesołej bywałaś minie

A kiedyś chciała być znamienita

Byłaś kolącą

Byłaś pachnącą

Byłaś przyjemnie różą rozwitą!

Złote blond włosy, oczy niebieskie i przyjemna, filigranowa proporcja, którą szpeci tylko nosek *à la Roxolane*. Sama nawet Imperatorowa w czasie zjazdu kaniowskiego w r. 1787 raczyła najmiłościwiej na nią zwrócić uwagę i zapytać, czy Opole daleko od Kaniowa, ponadto dała jej jeszcze rękę do ucałowania i zasiadła na chwilę do partji wiska. Kolące figliki dziewczeczki z Młynowa podziwiano też na owem rokokowem weselu kasztelanki radomskiej, gdzie to pan wystąpił z wiankiem mirtowym na upudrowanej głowie. Słynęła też z dowcipu. Jeden jej koncept przeszedł w legendę i uśmiecha się wciąż wśród plutarchowskich kart życiorysu ks. Józefa. Wiadomo, co się zdarzyło w dniu jego patrona w r. 1788. W trójkę wraz z Kosowską i Julją Potocką przekupiły kamer-

dynera pod Blachą, zakradły się w kostjumach bogiń do sypialni ks. Pepi, o zgrozo, zmieniwszy ją w okamgnieniu w Olimp czy też górę Ida. Potem czekały za kotarą, z upominkami w rękę i drżeniem w sercu. A potem, późną nocą, powrócił najdroższy Pepi różowy, gwizdający, senny i co ważniejsza, nie sam lecz w towarzystwie... ordynaryjnej aktorki Sitańskiej! *Enfer et damnation!*

Być może, że właśnie nazajutrz rano zasiadła ks. Rozalja do wysłania pewnego listu do swej mamusi, listu o którym prawnuk jej (ks. T. Lubomirski) nie umiał powiedzieć, z jakiej racji został napisany. Odznaczał się on wielką tkliwością: „Jaśnie Wielmożna Matko Dobrodziejko! Nauki, jakie mi w listach dawać raczysz, pozostaną głęboko w sercu mem wyryte. Do nich uciekam się w każdym frasunku i radabym kiedyś stać się lepszą!”

Z tem wszystkiem Warszawa była i nadal nudną, a po bankructwie Teppera, które bynajmniej nie podwyższyło pozycji towarzyskiej księcia, stała się już wprost niecznośną. „Damy są trudne i w wysokim tonie“, a co gorsza „wracają się do starożytnych ubiorów,

jakoto materje w wielkie bukiety i pasy. Ludzi jest mało, a nieobecność króla dodaje miastu posepności“.

W tym czasie książę-małżonek wybierał się w jakowychś aferach pekunjarnych nad Sekwanę. Pojechała z nim razem gwoli „najrychlejszego ratunku dla zdrowia“. Pani matka i *Son Altesse* hetmanowa-świekra, westchnąwszy ciężko, sypnęły co nieco dukatami.

Działo się w lipcu roku 1788-mego. „Róża rozwita“ kończyła rok dwudziesty. Paryż zaś był już wówczas czemś w rodzaju większej i przyjemniejszej Warszawy. W Palais Royal rezydowała zagniewana na Polskę marszałkowa Lubomirska, czując się prawie jak u siebie w Łańcucie, syn marszałkówny Bielińskiej, gen. Besenval ciceronował świetnie rodakom mamusi, ułatwiając im posłuchania u Dworu; nieoceniony gładysz, dawny grand-maitre Stanisława Augusta, Franciszek Rzewuski trzymał swą pieszczoną dłoń na pulsie ostatniej mody, nareszcie Teofilowa Lubomirska wraz z Sewerynową Rzewuską były pobłażliwie respektowane przez high-life francuski głównie dzięki swej małomysłnej rozrzutności.



Powiwszy spiesźnie córkę *dans le quartier du palais Royal* zaczęła bywać. Paryż i pani podobali się sobie wzajemnie. *La princesse printanière* zwano ją powszechnie. Naprzekór tamtym „wysokim w tonie“ komtessom nadwiślańskim *elle avait respiré l'air de la cour* jak stwierdza H. Vallon, czyli respirowała przyjemne powiewy dworu, jak mówiono z zazdrością w Polsce. Arcy-kurtyzana z Louvanciennes p. Dubarry przygarnęła ją odrazu a tkliwie do swego, wypadłego już z łask królewskich serca. Słuchając śliszkich dowcipów lorda Seymour i księcia de Brissac, przyzieraając się zbliżka sposobom bycia kochanicy Ludwika XVI-tego napewno przestała się nudzić markotna pani z Czarnobyłą. Bawiono się, nietylko w Louvanciennes, pospiesznie, jakby w gorączce. Bo już czas był ostatni, czas, o którym potem powie przecież Talleyrand: „kto nie żył przed rokiem 1789-tym, ten nie ma pojęcia, co znaczy prawdziwa radość istnienia“. Różyczka z Czarnobyłą, najmłodsza faworytka *ancien regime'u*, zdążyła jeszcze przybyć w porę i przeżyła z nimi ten upojny rok ostatni.

Książę-pan powrócił tymczasem do lubej ojczyzny i wmieszał się potrochu, chociaż niezbyt ambarasująco, w prace Sejmu Wielkiego. Z Paryża płynęły raz po raz do Opola rozradowane sztafety o niezwykle powodzeniu małżonki. Prawdopodobnie nie bez związku z jedną z owych sztafet wyjechał raz książę w trzaskający mróz do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie dnia 6. stycznia 1789 wciągnięto do ksiąg zapiskę takową: „J. O. książę Imć Aleksander Lubomirski, zapobiegając całości majątku swego, o nieważności długów zaciągniętych przez żonę swoją lub skryptów wydanych, że nie będzie w obowiązku płacenia, manifestuje się“!!...

Dlatego, zdaje się, wróciła pani do ojczyzny, ale nieprędko o niej usłyszymy. Dopiero w trzy lata później i to w chwili podniosłej, w momencie spełnienia obowiązku patriotycznego, w pierwszą rocznicę Konstytucji 3-go maja! Na owej pamiętnej premierze „Kazimierza Wielkiego“, kiedy król Jegomość, pogodzony z narodem, wśród powszechnego aplauzu przyklasnął głośno słowom aktora, *la princesse printanière* była także przedmiotem owacji za to, że pojawiła się w łoży wraz

z dwiema nieodstępniemi rywalkami w barwach białych i amarantowych. A cóż dopiero nazajutrz w kościele św. Krzyża: Za jej przewodem pono dwieście albo i trzysta grafiń przystroili się w kontusiki białoczerwone, ślicznie okrywszy amfiteatralne siedzenia. „Nic wspanialszego, a razem prostszego nie widziałem w życiu!“ woła zachwycony podróżnik Szule.

Lecz prawdopodobnie wtedy, gdy z entuzjazmem wdziewała kontusik patryjotyczny, coś wstrząsnęło mocno duszą strojnisi. Byłaż to miłość, ta pierwsza, wielka, niepudrowana? Może. To i owo pocichu szeptano o tem w „kompanji“ pań warszawskich. Podobno Mostowski i nie dziwnego, że właśnie on, Tadeusz Mostowski. Najmłodszy i najwytworniejszy z pośród senatorów Sejmu Wielkiego. Ten wszędobylski „causeur“, przemądry gładysz, dowcipem przewyższający nawet ciętego Ursynka, z którym wspólnie nadawał ton stronnictwu patryjotycznemu i redagował „Gazetę narodową i obcą“. Światowiec, dziedzic włości wspaniałych we Francji, *toujours incomparable* wedle słów Piatollego. Niedawno ożenił się i już pono zdołał się rozwieść z Anną



Radziwiłłówną, równie brzydką, jak mądrą i sentymentalną, która później zacznie pisać swe romanse, pierwsze czułe romanse polskie. I oto ten właśnie Mostowski, którego ubóstwiane na salonach imię wymawiają damy jednym tchem obok imienia kolącej róży z Czarnobyła, wyjeżdża nagle w ważnej misji zagranicę. Wybuchła rewolucja francuska. Należy wybadać intencje rządu rewolucyjnego wobec Polski w chwili, gdy idzie o „obalenie tronów wszystkich królów“. *Son activité peut faire naître des chances* szepce królowi przebiegły Włoch, radząc wysłać Mostowskiego. Nielatwej, ale doniosłej imprezy podejmuje się młodzieniec z zapalem i jesienią r. 1792 wyjeżdża do Lozanny.

Tuż potem opuszcza Warszawę ks. Rozalja. Co łączyło ich oboje, wśród jakich okoliczności ten krok szalony nastąpił, próżno dochodzić. W pamiętniku swym więziennym, spisany później po latach dla użytku Katarzyny II-giej, Mostowski powie krótko: *Je trouvai à Lausanne la princesse Lubomirska*. Spotkałem w Lozannie ks. Lubomirską. Jeśliby wierzyć ogólnikowym opowieściom Hoffmanowej, sprawa nie była wcale prosta,

owszem w powikłaniach swych godna niejednego z romansów, czytywanych wśród łez przez opuszczoną żonę Mostowskiego. Miało bowiem być tak: ks. Rozalja pojechała za Mostowskim, on natomiast pędził w ślady jakiejś pani S... a znowu Adam Broniec, oficer J. królewskiej Mości, biegał rozmiłowany za Różyczką!

I wcale nie chłodziło tych zachodów miłosnych ciemne niebo Europy, rozdzielane raz po raz grzmotami wielkiej rewolucji! W lecie r. 1793 spotykamy w „Szwajcarjach“ w Chamonix tajemniczą parę, już na dobre zadowoloną w kole dawnych przyjaciół, a więc wśród tej cząstki socjety francuskiej, która zdołała na czas ująć z Paryża i tutaj czeka, kiedy skończy się owa niemiła awantura. Nie kończyła się jakoś. Paryż w czapce frygijskiej śpiewał Marsyljankę. Ludzie mówili sobie „ty“. *Il n'y a pas de vous dans la republique.* Ludwika XVI-go powleczono do więzienia w Temple, a potem dnia 2. września Danton rzucił hasło. 1500 głów poszło pod topór. Żyrondyści wzięli ster. Tem samym nadeszła chwila czynu dla Mostowskiego, który niecierpliwie czekał w Chamonix.

Z żyrondydami zostawał oddawna w stosunkach. *Enfin*: kochankowie muszą się rozłączyć. Różatko ani słyszeć o tem nie chce. Szaleństwo! Powinna zostać i czekać jego powrotu po skończonej misji. Niespodzianie zaiste przychodzi szalonej damie „pomoc“ rządu szwajcarskiego. *A cause de quelque légèreté dans ses propos*, z powodu pewnych lekkomyślnych wyrażen ks. Rozalji (tak pisze Mostowski w pamiętniku) wydalają ją nagle z granic Szwajcarji. Te wyrażenia zaś miały być pono zbyt przyjazne dla rewolucji. „Nie mogłem żadną miarą opuścić księżny w tak kłopotliwej sytuacji, więc... pojechaliśmy razem!“ (tak się tłumaczy dalej Mostowski).

Warto zważyć: W chwili, kiedy wszystkie diuki i princessy całego świata dziękują Bogu, że ich tam niema w Paryżu, kędy bulwary spłynęły krwią, a nóż dr. Guillotin ani na chwilę nie wysycha — ci dwoje, Tadeusz Mostowski z ks. Aleksandrową Lubomirską, wjeżdżają w granice Francji, dnia 10 października 1792. Jego woła tam obowiązek, a chroni paszport dyplomatyczny, ją tylko bezbronne i zdane na łaskę losu — serce.



Lub może jeszcze coś innego parło szaleńców do wojażu?

Owa mianowicie dziecięca, niczem nie przerażona ciekawość ludzi rokoka. Przyznaje się do niej *toujours incomparable*: „Jechałiśmy... porwani żądzą ujrzenia Paryża w takiej właśnie chwili. Było to jakoś w miesiąc po straszliwych masakrach wrześniowych r. 1793... Miasto rozkoszy stało się miastem grobów... Cisza, trwoga i podejrzliwość rozsiadły się wszędzie, a lęk tajemny widniał na wszystkich obliczach“.

Nie znaczy to wcale, jakoby *façon de vivre* uległ zmianie. Lubomirska zjechała do Paryża z całym swym dworem, z lokajem Francuzem i służącym Anglikiem. Zaraz po przyjeździe wysłała list do pani matki. Ten właśnie znany nam list, w którym obiecuje nigdy więcej nie wrócić do kraju, a też skarży się na nudę żywota swego. Nie przeczuwa, że urozmaicenia przyjdą szybko, za szybko.

Pani Dubarry powitała przyjaciółkę z uniesieniem i zawiadomiła o wielkiem nieszczęściu, które ją właśnie spotkało. Oto jacyś złoczyńcy ograbili jej cudowny sezam z wszystkich prawie kosztowności. Ale już

ogłosiła listę kosztowności w dziennikach wraz z sowitą nagrodą (50 tys. fr.) za wskazanie sprawców. (Nie przypuszczała nieszczęsna, ile zapłaci wkrótce za to ogłoszenie.) W damoklesowej sytuacji tkwi zresztą jakiś drażniący, nieprzeparty urok. *High-life* paryski zbiera stokrotki na zboczach dymiącego wulkanu. Czasy są takie, że w sakiewkach trzech markizów znajdzie się razem ledwo jeden dukat, ale radzą sobie jakoś. A już najlepiej polska pani, przyzwyczajona i w ojczyźnie do podobnych sytuacji. *Marchand de musique* dostarcza na kredyt muzykaljów, tapicer dekoruje wnętrze pałacu kosztem 4000 franków. Ten pałac, wynajęty przez księżnę stoi na Quai Challiot 33, w pobliżu Pól Elizejskich. Mostowski mieszka tuż obok. Quai Challiot 33 staje się odrazu łącznikiem między emigracją i Paryżem. Kto został żywy z dawnej kompanji, bywa tam co wieczór z ochotą. Mostowski, zdawna znajomy pani de Roland, ułatwia nowe znajomości w kole dam krwi błękitnej. Czy jednak czuje się szczęśliwą przy boku ukochanego? O tem będzie mógł później powiedzieć więcej chyba Sievers, który po powrocie Mostowskiego do

Polski zrobi rewizję w jego papierach i znajdzie tam „rozmaite bileciki pań z arystokracji francuskiej, jako to: księżny de Choiseul, ks. Monaco i pani de Valence.“ Z mniejszem powodzeniem Mostowski próbuje nawiązać stosunki z Komitetem Ocalenia publicznego; dystansuje go tu z kretesem wywrotowiec Turski (Albert Sarmata), który wygłasza w imieniu Polski ognistą przemowę przed kratkami konwentu, — jak wyznaje w swym płomiennym manifestcie — „przyjętą z wyciongnientymi renkoma w świontyni wolności“.

Wypadki pędzą szybko. 20 stycznia Ludwik XVI staje na szafocie, 6 marca zaczyna urządować trybunał Dantona, żyrondyści, z którymi miał stosunki Mostowski, zmieceni z powierzchni. Na Quai Challiot cichnie śpiew i muzyka. Mostowski z księżną aresztowani, wychodzą cało tylko dzięki przyjaźni z komisarzem policji.

Dyszący potwór z zielonemi żyłami objął ster gilotyny. Arystokratki paryskie przebiegają się za pomywaczki. Kawalerowie kryją się w bluzach robotniczych. Nawet marszałkowa Lubomirska, łudzająca się do ostatka, że przeczeka niemiłe *événement*, uciekła za



granicę. Konstancja Rzewuska, z mężem i dziećmi wleczona przez tłum wyjący, cudem tylko uszła rzeczy ostatecznych. Wybicki, udając jakobina, prześlizguje się szczęśliwie przez rogatki. Ziemia paliła się pod stopami.

Nareszcie wyjeżdża i Mostowski. W ostatniej chwili. W parę godzin potem przetrząśnięto jego mieszkanie. „Gdyby nie uciekł, poszedłby na szafot“ rzekł później Robespierre do Barsa.

Wyjechał, ale sam. Księżna została. Dlaczego? trudno dość powodu. Wiadomo, że oboje nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Szwajcarska idylla miłosna skończyła się fatalnie w Paryżu. Później po latach, w więzieniu petersburskiem, Mostowski będzie o niej mówił — półgębkiem, bardzo niesmacznie.

Mogła wszelako wyjechać osobno, musiała nawet wyjechać wobec niechybnej groźby aresztowania. Pomimo wszystko została. Pani Hoffmanowa daje w tem miejscu do zrozumienia, że wyjazdowi przeszkodził — nowy romans. (Różyczko, oh, Różyczko!) Zanim jeszcze Mostowski przedostał się przez granicę, już wysłańcy krwawego trybunału przetrząsnęli pałac księżny. Nie znaleźli niczego,

natomiast p. Dubarry powiedziała na śledztwie dużo, za dużo... Na podstawie jej zeznań w trzy dni później Lubomirska wraz z córeczką znalazła się w wilgotnych podziemiach Petite Force.

Dziwne więzienie. „Było ono jedynem miejscem — wyznaje z dumą ks. d’Abrantès, — gdzie panowała wesołość i swoboda umysłu. Śmierć nas nie przerażała, więc nie bałismy się już niczego. Ożyły rozmowy, przypominające dawną elegancję i wytworność, z której slynęliśmy na świecie“.

Dla nikogo z nich niema ratunku, i dla niej także. Same zeznania pokojówki wystarczą, aby znalazła się wśród tych, którzy z obciętemi włosami jadą po śmierć na dwukolnym wózku!

*Enfer et damnation!* Już teraz naprawdę.

Było to w listopadzie roku 1793. Tymczasem w Polsce, w uroczej Tarchominie, wypoczywał po trudach dwutygodniowego wojażu Tadeusz Mostowski, „ciesząc się szczęściem i spokojem pól“.

Dni smutnego więzienia Lubomirskiej znane są nierównie lepiej od dni jej wesołej wolności. Już nieraz o tem opowiadano. Do-

chowały się akta jej procesu w archiwum trybunału rewolucyjnego, zaś w annałach historii snuje się długi ciąg usiłowań, by uratować tę, która mogąc uciec, została.

Niewiele chyba było ofiar rewolucji, dla których ocalenia przedsięwzięto tyle starań! Aresztowanie Polki stało się najpierw głośnie w kołach jej rodaków, z którymi coprawda niewiele miała styczności i wspólnoty. Nieszczęśliwy i odpalony Broniec poruszał niebo i ziemię. I zdziałał wiele istotnie. Używano dróg wszelakich, wymyślano protekcje, których mieć nie mogły ani pani de Roland, ani Dubarry.

Najpierw gmina miasta Paryża uczyniła instancję w Trybunale.

Potem minister spraw zagranicznych Desforgues kołatał u Robespierre'a, przedkładając, że egzekucja Polki i to niewinnej zrobi najgorsze wrażenie w jej ojczyźnie.

Daremnie. Potwór z zielonemi żylami pokazywał w odpowiedzi na interpelacje list ks. Lubomirskiej do pani Dubarry. W liście były współczujące słowa o królowej i niejaki aluzje do „majestatu władców ludu“.



*Citoyenne* Lubomirska zostaje nadal w nędzy i brudzie więzienia *Petite Force*. Codziennieżegna wiedzione na szafot ofiary, codzien wita nowe towarzyszek, lecz przecież ufa mocno w tę swoją dobrą gwiazdę. Usiłowania mnożą się. Kolonja polska w Paryżu wysła osobną ekspedycję do kraju, do Kościuszki, bo jeśli kto to on, potrafi uratować nieszczęsną. W tym celu wyjeżdża ekstrapocztą z Paryża Hipolit Bleszyński.

Aby zyskać na czasie nieszczęsna chwytą się powszechnego wówczas środka: symuluje ciążę. Liczy głównie na to, że jej bratowa z Równego wpłynie na Kościuszkę. Tą bratową jest bowiem — Ludwika Sosnowska, młodzińczy ideał Naczelnika.

A jeden tylko człowiek nie okazuje wcale zdenerwowania i traktuje całą sprawę z przedziwnym spokojem. Początkowo sądził, że zamknięto damę za... długi i dziwił się (bo któżby chciał w takich czasach niespokojnych pożyczać pieniądze cudzoziemkom?) Teraz już wie, że powód jest polityczny, owa „niepotrzebna“ korespondencja z p. Dubarry. Trzeba będzie, tak obiecuje, posłać w maju (tz. za dwa miesiące) p. Jeauffrai do Francji.

Tym spokojnym człowiekiem, obiecującym pomoc w maju, jest nie kto inny, jak rodzony mąż ks. Rozalji — Aleksander Lubomirski.

Tymczasem w Tarchominie aresztowano Mostowskiego. Pod zarzutem jakobinizmu kazał go uwięzić ambasador Sievers. A jedną z głównych podstaw aresztowania były znalezione przy rewizji listy... właśnie jej listy... księżny Lubomirskiej. Zwolniony po trzech miesiącach choruje ciężko i gdzieś w marcu dopiero będzie mógł zacząć działać w sprawie interwencji.

Do ministerstwa policji francuskiej i do protokołu dyplomatycznego napływają nowe i coraz bardziej naglące żądania. „Nie przestanę powtarzać — czytamy w jednym z nich — że, o ile na Lubomirskiej żaden zarzut nie ciąży, to jest rzeczą ludzkości, sprawiedliwości a nawet rozsądnej polityki uwolnić ją natychmiast. Podobny akt tem silniej spotęguje uczucia Polaków wobec nas“.

Mija zima i wiosna. Już piąty miesiąc cierpi w strasznem oczekiwaniu i wilgotnej kaźni różyczka z Czarnobyła. Przenoszą ją do coraz innych, coraz gorszych więzień. Punktem ambicji jej i wszystkich towarzy-

szek jest: dochować wiary dobremu tonowi. Przy brudnym zlewie więziennym, pod studnią, piorą diuszesy zdartą resztkę indyjskiego muszlinu, lub rozdzielają, jak relikwie, ostatnie szczypty pudru czy szminki. I zgodziły się wszystkie na nowy rodzaj fryzury: *à la victime*. Włosy krótko ucięte, aby sobie oszczędzić dotyku ręki kata.

W nich wszystkich, w niej szczególnie, zachodzą wielkie zmiany. Straszne więzienie stało się szkołą jej życia. Jeśli wyjdzie, inaczej patrzeć będzie na świat. Jakże inne teraz jej listy! Prostota w nich jest i serdeczna tkliwość. A szczególnie ten wzruszająco szczery list do rodaków paryskich, do nieznanых damie szarych demokratów: „Nie zasłużyłam na wasze względy, ale teraz w więzieniu nauczyłam się kochać moją ojczyznę“. Różyeczko, Różyeczko!

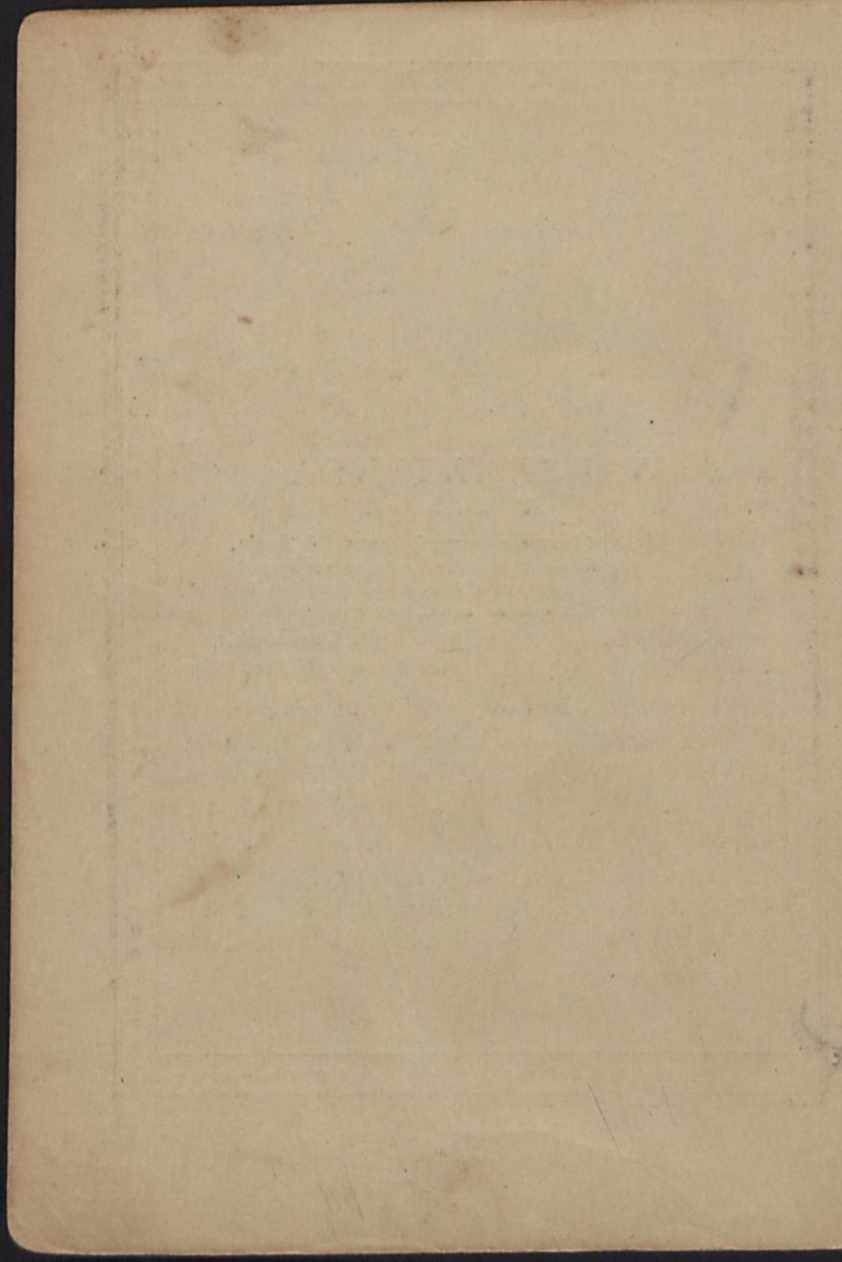
Lecz pomoc nikt nie zdołał. Ani Ludka Sosnowska, która umyślnie jeździła do Warszawy, do Kościuszki, ani listy Naczelnika, Zakrzewskiego i Mokronowskiego, ani nieustrudzona bieganina pocziwego Barsa, który ziemię i niebo poruszał. Na inny jeszcze pomysł ratunku wpadła sama nieszczęśnica.



Przedtem symulowała stan odmienny teraz udaje miłość. — Wiedząc o tem, że Bleszyński jest dobrze widziany w kołach rewolucji, pisze doń kilka listów pełnych gorącej tęsknoty, obliczonych na to, że będą przejęte przez trybunał. Listy umyślnie sfingowane: „Nadszedł czas złożenia dowodu, żeś był rzeczywiście godnym mego szacunku. Okryłam się wstydem, aby ocalić życie twego nieszczęśliwego dziecka“...

Ostatni chciał ją ratować współwięzień, cudownie piękny książę La Trémouille. Przekupił strażę, mieli ją właśnie wypuścić. Nie udało się. Nazajutrz zginął z imieniem Rozalji na ustach. Z tego powodu Robespierre kazał przyspieszyć postępowanie. W raporcie złożonym wkrótce potem komisarzowi spraw wewnętrznych powiedziano: „Mam honor donieść, że Rozalja Lubomirska *a été mise à mort*. Pozdrowienie i braterstwo“. „Wiośniana księżniczka“ z Polski była jedną z ostatnich ofiar Terroru. Ten nóż gilotyny, który odebrał jej życie, uczynił to samo w 27 dni później Robespierre'owi.

W tragicznych losach Annę z Chodkiewiczów kryje się jakby dziwna symbolika i ta-



Wśród wszystkich pań rokoka ta jedna zasługuje w całej pełni na miano Warszawianki. Nietylko dlatego, że urodziła się na Nowym Świecie. Jeszcze z innego powodu. Gdy tamte mają swe włości gdzieś daleko po świecie na Podolu, Ukrainie, ona ma je tuż obok. W ulicach Warszawy. A posiadają (obie z siostrą) tych ulic sporo: Pół Marszałkowskiej i całą Pańską, pół Świętokrzyskiej, Jasnej i Szkolnej, całą Wilczą i Otwock w dodatku. Chyba wśród wszystkich Warszawianek, jakie kiedy oglądał król Zygmunt z kolumny — ta jest *pur sang* najbardziej, *Varaviae adscripta* i najprawdziwsza. Skąd jej to przyszło? Poprostu. Rodziła się z Franciszka Bielińskiego, a ten wziął tęgą sukcesję i jurydykę Bielino po znakomitym i bezdzielnym marszałku.

Czarnobrewa pani Basia. „Lube dzieło natury“.



Nazywają ją córką trójcy św. W tem powiedzeniu niema wcale bluźnierstwa. Powstało stąd, że szanowna *maman* należała do owych trzech pobożnych dam, które Warszawa zowie „miłą trójką świętych pań”. Damy owe (Granowska, Lanckorońska, Bielińska) dziergają wciąż hatłasowe robótki i długo jeszcze dziergać obiecują, a to na filantropję i uproszenie zmiłowania Bożego dla poniatowskiej Sodomy. Od dziecka patrzy pani Basia na owe pobożne praktyki. Ale bez entuzjazmu. Robótki i rozmyślania nie pociągają jej. Safjanowa książka do modlitwy, o ślicznie złożonych brzegach — słodkie *cadeau* wszystkich trzech mamusierek — leży na gotowalni bez użytku. Pani Basia bowiem stworzyła sobie inną trójkę. Mniej świętą, zato głośniejszą. Wiadomo kto: Różyczka z Czarnobyła, *la belle Julie* Potocka i ona. Wiosenne, do dziś woniejące trifolium polskiego rokoka.

Samoczwart z paniami chodzi po asambdach amerek i nie może nastarczyć strażów. I też Parys olimpijski, który zawsze wraca z jabłkiem, niezdecydowany jak i *toute Varsovie*. Nie umie orzec, która z nich była

piękniejszą, tak jak my dziś nie wiemy, która z nich bardziej nieszczęśliwą. Nad Giuliettą i Różyczką góruje pani Basia wspaniałością budowy. Tamte są eteryczne i zwiewne, ona naremna, zamaszysta, muskularna. Tę zaś zdrową i rumianą zamaszystość ozdabia jeszcze wszystkimi urokami kobiecości i łączy ze słodkowonną harmonją ruchu, słowa, uśmiechu!

Może jeden portret angielski zdołałby jeszcze uwiecznić, ujawnić i uprzytomnić nam tajemnicę uroku p. Basi — ale nie polski. To jasne. Ani zbyt miękki Grassi, ani tem mniej pedant Leserowicz, ani chociażby największy majster w tej mierze — Lampi. Już raczej jedwabista i śpiewna strofa Trembeckiego. W jego pysznym erotyku pani Basia tańczy naprawdę:

Nóżki się ledwie widzieć pozwolą  
I tylko czasem tykają ziemi  
Wszystkie w niej członki razem swawolą  
A zefir igra z szaty wiotkiami.

To był walczyk w objęciach rozkosznego  
Gucia. A teraz kozak, do którego bierze ją  
zawsze *le prince charmant* Pepi:

Gdy się na zwrocie nieco zawinie  
Lotny fartuszek, albo spodniczka

Ledwo z chciwości oko nie zginie  
 Żeby obaczyć chociaż — trzewiczka!

Istnieje niesprawdzona, dość fantastyczna legenda, że były pono w Warszawie staniśławowskiej aż cztery małżeństwa dobrane. Nazwisk nikt wymienić nie umiał, zdaje się przecież, że państwa Kossowskich nie było w tej czwórce. Jakim podstępem chytry i łysiejący podskarbi Roch Kossowski dobrał się do rączki panny Bielińskiej, to także sekret, ale do rzeczy nie należący.

Zagadkowy marjaż pp. Rochów powiększył wkrótce potem ulubioną na salonach kolekcję „Zagadek“ nowym dwuwierszem:

Żonę ma piękną jak bożek  
 Przydomek dają mu rożek.

O pani rymowano inaczej:

Zamaszystą, gdyby Diana  
 Umizga się, gdyby panna

gdyż kostjum bogini łowów był ulubionem przebraniem muskularnej Warszawianki. Wkładała wtedy na swe czarne włosy precudny diadem brylantowy w kształcie półksiężyca. Ten półksiężyc świecił u wezgłowa łożnicy ks. Józefa w pamiętnym wieczrze „Diany i Psychy“.



Gdy hr. Engeström, pełnomocny poseł Najj. króla Szwecji, przybył do Warszawy, zaraz w pierwszym dniu, w tym samym czasie, gdy składał wizytę braciom i siostram królewskim — wrzucił bilet u p. Kossowskiej.

„Towarzystwo było liczne — powiada dalej tenże Engeström notując pierwsze wrażenia z Warszawy w r. 1788 — przy stole posadzono mnie pomiędzy panią Kossowską a panem Tadeuszem Czackim, to jest pomiędzy wdziękiem a pedanterją.“

Pani Barbara była bowiem wielką przyjaciółką ciała dyplomatycznego. U przedstawicieli państw obcych cenila przedewszystkiem dyskrecję. I to, że nie mają zwyczaju, tak jej się zdawało, pisania pamiętników. Bo gdyby byli niedyskretni, albo pisali, to ileż nowej materji przybyłoby na ten „czarny płaszczyk potwarzy“, który od początku szyły dla niej chude, dworskie plotkarki. O tego posła angielskiego szło głównie. Zazdrościły jej, chociaż nie było kogo. W dekalogu pań wytwornych *liaison* z legatem Albjonu należało do najszczytniejszych przejawów wysokiego tonu. Słyszeliśmy już, że sama Radziwiłłowa z Arkadji raczyła po-

kochać się nieszczęśliwie w panu de Whitworth. Kiedy Whitworth poszedł nad Nową, następcą jego został sir Hailes i ten oto Hailes oszalał z miejsca, ujrzawszy czarne oczki i rumiane buzie pani Barbary. Ściśłość nakazuje zaznaczyć, że o ile Whitworth liczył się do najmodniejszych lowelasów Europy, to sir Hailes był rudy, brzydki i nieznosny.

Kazał sobie natychmiast przełożyć na angielski wierszyk Trembeckiego, nauczył się tańczyć menueta, zapewniał ją, że nie wierzy temu wszystkiemu, co w antyszambrach mówią o niej, o królu i o Pepim. Cokolwiek by mówili, nie wierzy. Pani Barbara zaś wyśmiała wszystko: łysinę, menueta i całego Hailesa. Pektoralik, zwany sercem, poradził jej co innego. Rzuciła rudą Anglję, wybrała blondwłosą, 20-letnią Rossiję. Nazywał się (jeszcze niemodnie) Gustaw, był synem Stackelberga, i uczył się dyplomacji w kancelarji papy.

Dyplomacja Albjonu poniosła jeszcze jedną klęskę w walce z przemożnym wpływem Petersburga. Warszawa śmiała się, a niełitościwa pani Basia kazała pocieszyć Hai-



lesa słowami Kleopatry: „Jeżeli go znajdziesz smutnym, to powiedz mu, że tańczę“.

Rudy wyspiarz zawrzał gniewem i obmyślił zemstę. Zemścił się na... papaszy. Zażądał natychmiast odwołania Stackelberga z Warszawy. Wprawdzie nikt nie wiedział, czy to on zażądał i czy dlatego właśnie, ale p. Barbara wierzyła święcie, że tak było. Bohaterka wiersza Trembeckiego zyskała drugi tytuł do nieśmiertelności. Stackelberg poszedł przez nią w duraki! I co gorsza, wziął z sobą syna.

Nieutulona w żalu pani Basia zaprzysięgła zemstę Imperatorowej i przeszła w szeregi zwolenników — Konstytucji 3-go maja!

Lecz rudy Anglik dostał także za swoje; na złość mu skokietowała Kazimierza Nestora Sapiehę, który pod jej pono wpływem wstąpił do stronnictwa patryjotycznego.

Słowem, same czyny obywatelskie.

Patryjotyzm pani Basi nie trwał atoli długo. W czasie Insurekcji Kościuszkowskiej pokazywano ją palcami jako obojętną. Gdy w czerwcu r. 1794 „kilkanaście tysięcy osób płci rozmaitej w dobrym porządku“, z „podwójną janczarską muzyką“ ruszyło z za-

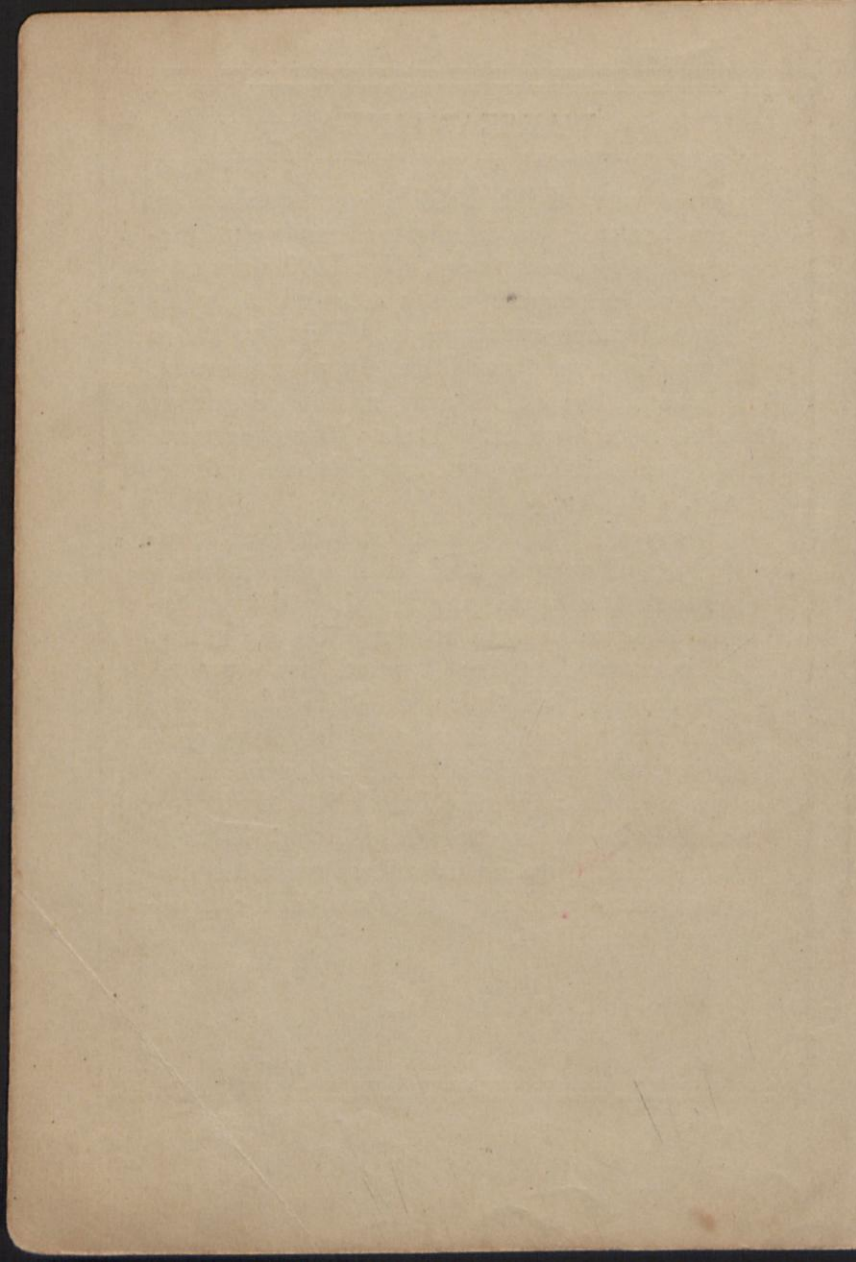


palem za miasto do sypania szańców, a wytworne panie szły z plebsem pospołu, trzech tylko nie było wśród nich: Grabowskiej, Oborskiej i Kossowskiej. Nazajutrz otrzymała „bilet od żarliwych obywaterek“ z wezwaniem do spełnienia powinności. Bilet pozostał bez odpowiedzi, o czem żałośnie doniosła „Gazeta Warszawska“. Solidarnie z Grabowską i Oborską odmówiła pani Barbara udziału w praktykach „gołowładców“. Już zapomniała Katarzynie dawnych uraz, razila ją teraz piosenka o „kościuszkujabluszkuz i szyszce borowej imperatorowej“.

Nie miała serca dla tej piosenki, tak jak jej nie znalazła później dla innej: o Basi i zapłakany ojcu. Zresztą gdy „nasi“ gdzieś tam za morzem „bili pono w tarabany“, w Warszawie pruskiej było wcale wesoło, nie równie weselej, jak za Sejmu Wielkiego. Teraz dopiero zbudził się w pani temperament a piękność rozkwitała, tak jak w czerwcu kwitną piwonje. Sama jedna została z wesołej trójki, sama i — zwycięska. Różatko z Czarnobyła zginęło pod gilotyną, *la belle Julie* spoczywała od lat sześciu w katakumbach krakowskich. Pani Basia kró-

luje na wszystkich balach warszawskich w epoce bezkrólewia mody, na rozdrożu między rokokiem i empirem. W r. 1800, w pantominie na wieczorze u Małachowskich grała w sposób zachwycający rolę Psychy, która z kagańcem w dłoni idzie na poszukiwanie uśpionego Erosa. Wtedy zaszła jej drogę Parka z nożycami. Dnia 10-go czerwca 1801 padła ofiarą macierzyńskiego poświęcenia.

Historja bywa jednak czasem nielitościwa. Potrafi opowiedzieć bezliku skandalików i ploteczek z życia pani Basi, a o tym tajemniczem zdarzeniu milczy. Co się stało? Nie wiemy. I tylko kamień grobowy na Powązkach mówi głośno do dziś: „Cnotliwej matki zwłoki kryje ta mogiła, dzieciom życie ratując, swoje utraciła“. Za wcześnie skończyła się. Co najmniej dziesięć lat królowania czekało ją jeszcze pod Blachą. Złocone brzegi książki do nabożeństwa nie miały nawet czasu zetrzeć się pod paluszkami czarnobrewej pani Basi.

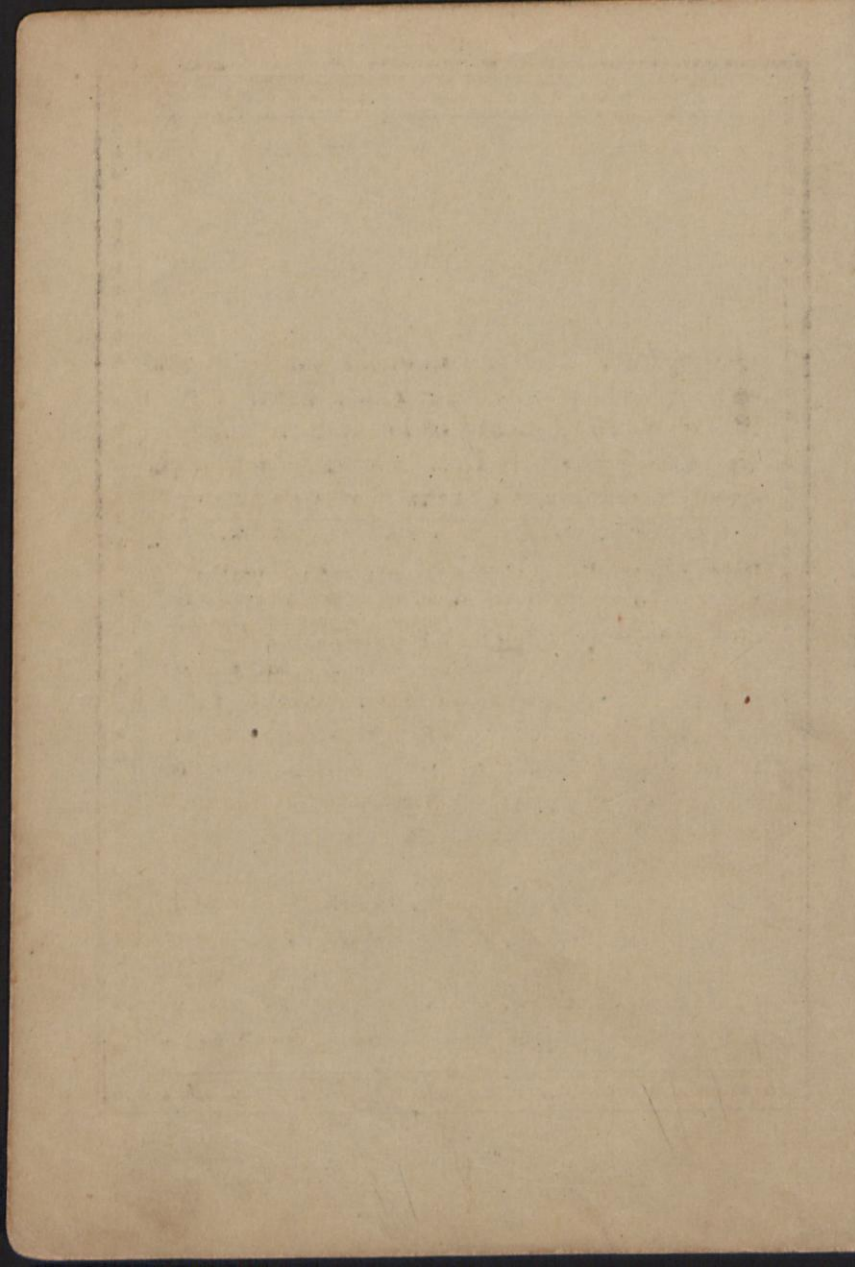




## MAŁŻONKA KRÓLA IMCI

*Czy w faraona czy w tryszaka  
Nie wiem, w co grają bogowie,  
Wiem jednak, że jest kobieta taka  
Która ich grą się zowie!*

Szambelan Łącki.



**D**o rogatek czerniakowskich zbliża się pędem kareta zamkowa, za którą dwie bryki ładowne ledwie nadążą. Już prawie dojeżdżają, gdy wtem dogania i prześciga karetę szaraczkowy sobie *nequam* w rogatywce, przy szabli i krucicy, na lichym cwałujący koniku. Dopada pierwszy szlabanu i żywo rozprawia z celnikami, którzy go słuchają w uniżonej postawie. Rzecz dzieje się 15 maja 1794 w dniach „gniewu ludu“, nazajutrz po egzekucjach Ankwicza i towarzyszy. Ten *nequam* szaraczkowy przy szlabanie czerniakowskim, to był pan szewc Kiliński, zaś w karecie dworskiej chciała uciec zagranicę małżonka króla Imci, generałowa Grabowska.

Z rozkazu króla postanowiła za wszelką cenę wymknąć się z Warszawy w towarzystwie p. Chodkiewiczowej, atoli pan Kiliński, prezes komisji kwaternej i paszportowej, ani słyszeć nie chciał o podpisaniu



przepustki. „Lecz te dwie damy — tak żali się w pamiętnikach — udały się do Rady i to wyrobiły sobie, że im kazała paszporta wydać. Ale ja doniosłem Radzie, że te dwie damy z kraju wypuszczać nie można i że one wywiozą niemało skarbów z kraju naszego. Lecz Rada nakazała mi wydać koniecznie paszporta i to bez żadnej ekscepcji“. Uparty szewc-pulkownik nie dał jednak za wygraną i popędził na roгатki. („I tam przykazałem rewizorom, aby jak najsurowiej rewidowane były“.) Rewizorzy spełnili rozkaz komendanta i cóż? Oto obie damy opakowane były klejnotami, w sukniach zaś, które z nich zdjęto, miały zaszyte brylanty, wartości sześciu milionów złotych. Ponadto w brykach były sprytnie wydrażone schowki, pełne dukatów i kosztowności. „Kazałem wszystko na ratusz zwieźć... A przekonawszy Radę o tem, że źle robią, wyszedłem z ratusza zagniewany, gdyż Rada bogatych wypuszczać kazała, a hołyszów gołych zostawiano“... kończy ze słuszną goryczą pan Kiliński.

Pani Grabowska wiedziała dobrze, czemu tak śpiesznie ucieka. Bo właściwie, na dobrą

sprawę, powinna była stanąć przed sądem pospółu z Ankwiczem i Kossakowskim. Podobno istniał nawet pierwotnie taki zamiar. Dobry pan Kościuszkowski źle zrobił, nie nakazawszy aresztować kobiety, której usługi nabywał każdy dyplomata rosyjski z łatwością, za cenę aby strojnych błyskotek. Akces króla do Targowicy był też w dużej mierze dziełem p. Elżusi, której wpływ na majestat doszedł w tym czasie do zenitu, a wierszyki rozrzucane po mieście głośniły:

„Jedno dla niego hasło jest: Opatrzność boska  
Cała rada Chreptowicz i pani Grabowska!“

I bez niej przyszedłoby do akcesu. To prawda. Nie trzeba było zbyt długo przekonywać króla, aby wycofał się z awantury majowej i poszedł do Canossy. Lecz gdyby przynajmniej umiała intrygować w wielkim stylu na miarę Ninony Lenclos lub markizy de Pompadour. Gdyby okazała się indywidualnością, o którejby można powiedzieć to, co rzekł Mirabeau o Marji Antoninie: „Król francuski ma tylko jednego męża przy sobie, a tym jest jego żona“, gdyby była królowi wierną do ostatka, a nie była, o flircie z Walerjanem Zubowem mówiono powszechnie.

Tymczasem żona króla Jegomości okazała się zwyczajną i przeciętną, zachłanną na grosz, na szmatki trusią. Despotyczna wobec słabych i uległych sobie, pokorna i trwożliwa wobec tych, którzy ją brali z góry. Mało udzielająca się, dziwnie nie lubiana. Ulica Warszawy nazwała ją „karą boską“, a strzał dany do Michała Grabowskiego na Nowym Świecie w dniach powstania wywołany był pono nienawiścią do matki.

Już wprawdzie starym czuł się i zmęczonym Stanisław August, gdy uległ jej wpływowi, lecz mimo to pojąć trudno, jakim cudem, ta wcale przeciętna, ani piękna ani sprytna, a leniwa i tępa kobiecina potrafiła ostać się i uniknąć tych wszystkich sideł i intryg zastawionych czy to przez rodzinę, czy przez panią Krakowską i podkomorzego i biskupa Kossakowskiego, jak wreszcie umiała odparować zatrute cięcia wszystkich zazdrosnych rywalek od awanturnicy Lulierki zaczawszy, poprzez Sapieżyny i Potockie, a na książęnej kurlandzkiej skończywszy.

Czynna rola polityczna p. generałowej zaczyna się dopiero od upadku Konstytucji



3 Maja. Mało rozumiejąc o co chodzi, powtarzała jak papuga za ambasadorem, że ustawa majowa jest farsą, że król nie powinien być żadną miarą wdawać się w tę „wojnę dwóch Potockich, *car ce n'était pas autre chose qu'une guerre du parti*. Znany jest też ów czuły jej list do króla z 8 sierpnia 1792, ubóstwiający go za akces do Targowicy, przez co „zatomowany został wylew krwi niewinnej“.

Jej przywiązanie do Rosji było szczere i wielkie. Ambasadory umieli je potęgować terrorem i prezentami. Za Targowicę otrzymała od Bułhakowa cudowne szafiry, później ten sam efekt wywierały pogrozki, że królowi grozi los Ludwika, a komu innemu los p. Dubarry.

W Grodnie i Petersburgu używano jej stale do wymuszania na królu zgody na wszystkie najbardziej upokarzające żądania. Ilekroć zabłysła u króla jakaś ostatnia iskra ambicji lub dumy osobistej, posyłano panią Grabowską, aby ją gasiła. Smutne władztwo „kary boskiej“ skończyło się wraz z dworem Stanisława Augusta. Może więc nie przez omyłkę król zapomniał o swej żonie w testamencie.

\*\*\* TWARZ I KOBIETA \*\*\*

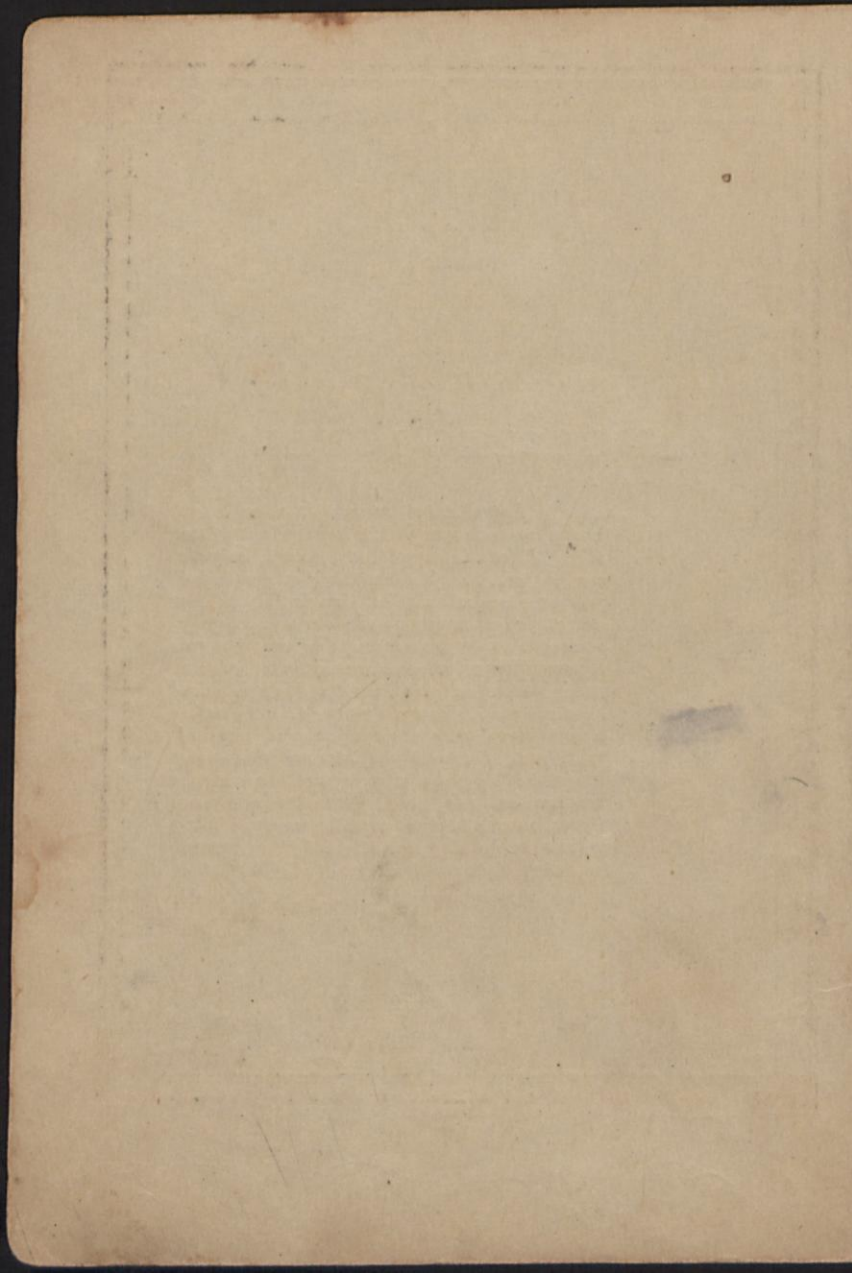
Pod rokiem 1806 notuje pułkownik Gajewski w swym pamiętniku: „Pani Grabowska jest dowcipna i wesola. Opowiada rozmaite szczegóły o królu i dworze. Podupadła na majątku, i chętnie przyjmuje obiad, gdy ją zaproszą“.

## SANGUSZKO I JULJA

„Julja Potocka był to wdzięk uosobiony;  
kiedy w mazurze kibić jej zwiewna na  
ślicznej, ledwie ziemi dotykającej, kołysze  
się nóżce,... gdy wysliznięta z objęć  
jednych rzuca się w drugie... te ją  
chwytają, w tamtych się okreca..., gdy  
wreszcie tancerz wróconą doń mgnieniem  
błyskawicy w wirowe unosi koło, a ona  
znużona zwiesi główkę na szyję z lekkim  
rumieńcem rozkoszy i wstydu, a utkwio-  
nem okiem potęgę swych uczuć przelać  
weń pragnie, wtedy ściśnieni widzowie  
z sercem bijącym, z wyrytem na oczach  
wrażeniem nie mogą wzroku oderwać  
i wzrokiem swój zachwyt tłumaczą. Tlu-  
mione tylko słyszać niekiedy wykrzyki  
widywów: Grand Dieu! que Julie est belle!

Fr. Schultz. Voyage en Pologne (1793).





**W**iadomo, co sie damom podobalo  
 najbardziej: Poema pana Woltera,  
 drastyczne i sliskie, pod tym wla-  
 śnie tytułem. I to nie tyle w oryginale, co  
 w figlarnej i bardzo dowcipnej przeróbce mło-  
 dziutkiego Niemcewicza, opowiadającego czy-  
 telnikom:

O dawnym ednym rycerzu  
 Co chodzil w zbroi i starym pancerzu  
 Nazywano go Robertem  
 Żył pod królem Dagobertem.

Podstępna wróżka Urgela, przybrawszy  
 postać ohydnej staruchy, zniewoliła go do  
 małżeństwa a potem w nagrodę za dotrzy-  
 manie słowa zmieniła się w noc poślubną w  
 najpiękniejszą z kobiet. I stała się taką jak  
 Wenus:

Gdy śnieżną dłonią długie włosy podnosząca  
 Luba tysięcznym wdziękiem i woniami tehnąc  
 Dzielnego Marsa czekała.

Lub taką (dodaje tłumacz od siebie):  
 jakieś widział świat podbić gotowe  
 Julję, Kossowską i Aleksandrowę.

Ta arcygrzeczna wstawka w poemacie Woltera to jeszcze jeden hołd, hołd już ostatni, złożony rozgłośniej trójce pięknych pań. A pierwszą wśród wymienionych była właśnie najurodziwsza z trzech, historyczna i legendarna piękność: Julja z Lubomirskich Potocka.

Marszałkowa Lubomirska histerycznie nie-nawidziła swych czterech córek zarzucając im ciągle, że się nie urodziły synami. Jedna z nich poślubiła Seweryna Rzewuskiego, trzy inne rozmaitych Potockich. Julja była żoną Jana, zwanego *Jean Maroc* lub *Jean voyageur*. To ów genialny powieściopisarz i jasnowidzący historyk, którego fenomenalna umysłowość dopiero po stu latach olśniła ludzi. Wtedy jednak był jeszcze nudnym i odludnym dziwakiem, i umiał np. w chwili dobrego humoru wejść do salonu matki nago, ze szpadą przy boku, potrafił pojechać do Egiptu po to tylko, by na jednej z piramid wyryć kozikiem werset z Delille'a. Drukował książki, tak aby nikt ich nie mógł czytać, latał balonami, grzebał w księgach i podróżował po Tunisie, Persji, Arabji i Hiszpanji. Nad miłość oddanej mu żony prze-



nosił miłość nieodstępного Turka Ibrahima a p. Julji okazywał tyle samo sentymentu, co jej matka. Nie widywał żony prawie, zagrzebany w foljantach swej biblioteki, nie dostrzegał tych „wdzięków w farbach nieszukanych i jej pieszczot niezmyślanych“.

*Giulietta la bella* miała w opinji pań wytwornych jedną dziwną, niewytłumaczoną dla nich usterkę. Była uparcie i konsekwentnie cnotliwą. Żona takiego dziwaka i wierna! Nikt nie wiedział dlaczego. Nie obnosiła swych wdzięków po łożach masonskich i buduarach fireyków i kulisach teatrów amatorskich. Zaś teatr był jej pasją, należała do drugiej jeszcze głośniejszej trójki: aktorek. Wraz z Sewerynową Potocką i Tyszkiewiczową grywały często w Teatrze Złotej Loli na Dynasach. P. Julja bierze udział w tem historycznem przedstawieniu „Wesela Figara“, które wyprzedziło premierę paryską. Zapewne Zuzię grała, a może Cherubina, lub ową hrabinę, która „poruszana dwojakiem uczuciem okazuje tylko czułość powściągliwą albo cholere umiarkowaną“ — jak objaśnia współczesny scenarjusz.

Wtedy też królowała w tańcu. A ten tancerz; w którego „potęgę swych uczuć przelewała“ to śliczna i jedyna pono, legendą otoczona miłość jej życia — Eustachy Sanguszko.

Drugiej takiej pary daremnie szukać w 18-ym wieku. Tylko Szekspir znalazł ją ongi w Weronie.

Major kawalerji narodowej, porządny człowiek i żołnierz zwycięski z pod Szczekocin kochał Julię inaczej, jak tamte wszystkie fireyki, „submitygujące się“ w buduarach. Więcej tęsknoty jak szczęścia zaznali, bo wojna i los tragiczny rzuciły nim po świecie. Dla ratowania rodzinnych dóbr kresowych musiał wziąć na czas jakiś szlify oficerskie w Petersburgu. W tym czasie nazwisko p. Julji wypływa w Paryżu. Bynajmniej nie — jak zwykle u innych — w skandalicznej kronice, ani w antyszambrach Trianonu. Spotykamy je bowiem w pewnym tajemniczym liście szyfrowanym pod cyfrą 4211. Nie bylejaka to cyfra i nie dla fraszek. W tych samych listach bowiem nr. 4209 oznacza Tadeusza Kościuszkę. Było to w roku 1792. Wyjechał w sprawach przyszłego



powstania, zabiegał o wysłanie przez rząd rewolucyjny korpusu posiłkowego z Francji, któryby, wysadzony na Krymie, podał rękę polskim insurgentom. W tej swojej arcy-trudnej robocie na gruncie paryskim nie wiele znalazł generał pomocy. Nie wiele wśród Francuzów, jeszcze mniej w kolonji polskiej. Do owych nielicznych należała właśnie *la belle Julie*. Wzmianki w tajemniczym liście szyfrowanym dowodzą, że działała ona w kołach Żyryndystów i miała nawet jakieś odpowiedzialne stanowisko w konspiracji. Wraca z Paryża zdaje się razem z Kościuszką, silnie związana ze sprawą Insurekcji. Patrzy z bólem i oburzeniem na rozpasanie swych wielu przyjaciółek, awanturujących się z Moskalami. „Damy nasze — pisze ktoś w tym czasie do Ignacego Potockiego — szaleją za nimi aż do wstydu. Te co z początku uciekały, teraz giną za Moskalami. Prócz domu ks. Jabłonowskiej, Julji Potockiej i Mokronowskiej wszystko podpada krytyce. Zubow otrzymał charakter Don Juana“. Potem fircynelle uciekają z Warszawy w strachu przed Kościuszką i grożącą im justyfikacją różgami *coram publico* na Nowym



Świecie — ona jedyna prawie z pań stani-  
sławowskich zostaje. W sierpniu r. 1794  
umiera nagle w Krakowie.

W tym czasie Eustachy Sanguszko był już  
zpowrotem pod komendą Kościuszki. W dniu  
jej śmierci odniósł ranę, pod Barlicami. Do  
Warszawy powstańczej przedostaje się przez  
placówki rosyjskie wieść, że tam w Krako-  
wie przestała żyć Giulietta. Wszyscy już  
wiedzą, nikt nie śmie zawiadomić Romea.  
„Niespokojność nadzwyczajna, sny trwożące  
— zapisuje on sam w swoim pamiętniku —  
wróżyły mi cios okrutny, który dokonał swych  
przeznaczeń i wydarł mi to, com najwyżej  
na świecie cenil“. Rannego odwiedza pod  
Blachą król i księżę podkomorzy a nikt  
z nich nie śmie wyznać prawdy. Nakoniec  
„przybijają mnie ciężarem nieszczęścia mego.  
Drogi wszystkie przecięte. Mimo niepodo-  
bieństwa postanawiam dotrzeć sam na miej-  
sce“. Aby sprawdzić, bo nie wierzy!

Bierze pod słowem honoru urlop od Ko-  
ściuszki. Wdziewa mieszczańską kapotę.  
„Nocą ponad Wisłą przedzieram się przez  
straże nieprzyjacielskie“. Jeśli go złapią,  
stryczek, bo jest dezterterem z armji rosyj-

skiej. „Oświeca kroki moje jeszcze żar już zgasłej dla mnie pochodni. Chęć zapalczywa dojścia do celu naraża mnie na wszystko, lecz oraz czyni ostrożnym w niebezpieczeństwach“.

Kupuje po drodze coraz nowe konie i gna bez tchu. Wiadomo co się dalej stało. Trafił już na kondukt sunący ulicami. Ciągłe nie wierzy, że to jej pogrzeb. Patrzy w zamkniętą trumnę i nie wierzy. Musi ją zobaczyć! Z pomocą znajomego księdza dostaje się do grobowca.

„Spuszczono za mną grobowy kamień, a ja czując się swobodnym podnoszę wieko trumny... .

„Słaby promyk dzienny, wpadając przez kratę otworu, oświeca śliczną jej twarz, tę gracyjną twarz... .

„Wyduje mi się żywa, tylko uśpiona... .

Wolam ją po imieniu, najtkliwszemi budzę zaklęciami, pewny, że głos mój ją ożywi“... .

I scena z aktu 3-go „Romea i Julji“ powtarza się w grobowcu dosłownie:

Juljo, kochanko... .

Śmierć, co wysysa miód z twojego łona

Wdzięków twych zatrzeć nie zdołała jeszcze

\*\*\* TWARZ I KOBIETA \*\*\*

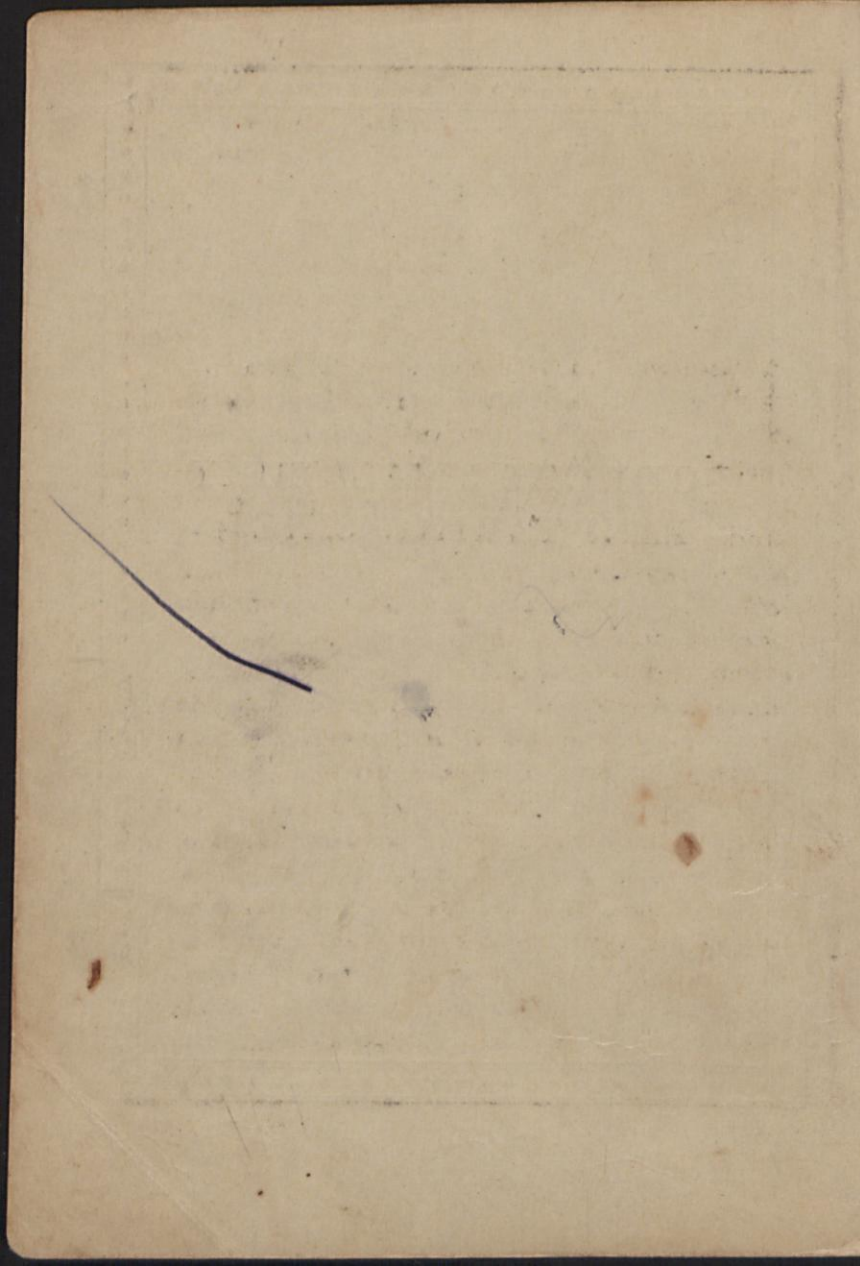
---

Nie jesteś jeszcze zwyciężoną... Karmin,  
Ten sztandar wdzięków, nie przestał powiewać  
Na twych licach...

Lecz koniec inny. Polska Giuletta umarła  
naprawdę: „W szale rozpaczy przytknąłem  
usta do jej ust... I wtedy pojąłem, co to  
jest śmierć“... Omdlonego wyniesiono na-  
zajutrz z katakumb, a legenda o roman-  
tycznem zdarzeniu, o pięknej Julji, którą  
Romeo kochał aż za grób, przetrwała poko-  
lenia.



PODRÓŻE I MALATURY  
PANI TARNOWSKIEJ



**P**o 5-ciu wiekach nauki odważyła się wreszcie. Trochę późno coprawda. Bo zważmy: Od XIII-go stulecia ślęczy w celi klasztornej, mówi pacierze, boi się diabła, haftuje, maluje. I dumna jest z swej pracowitości. Matka Mortęska, ksieni Benedyktynek w XVI wieku zapewnia nas, że w wszystkich podległych jej władzy konwentach wielkopolskich siostrzyczki „ustawnie zajęte haftarstwem, jakoż i malaturą“. Przez pięćset lat miała kobieta polska czas i sposobność do pracy, więcej go miała, niżli ciężkoreki brat szlachcic, zajęty pod Cecorą, Chocimem, Kircholmem. Lecz wielu rzeczy brakło. Najpierw łaski talentu. Pięć wieków malowania klasztornego nie wydały ani jednej, pomysłu, ani jednej artystki. Potem niestało odwagi i mody. Dlatego historia jagiellońska nie zapisuje chociażby jednego nazwiska malującej białogłowy. Moda przyszła dopiero teraz. W epoce stanisławowskiej nie



wypadało nie umieć malować. Damy wytworne śniły o laurach Angeliki Kaufman, pani Vigée Lebrun. Portret, i to dobry portret, stał się tak nieodłączną częścią krajobrazu życia, jak peruka, lub „pajęczy Indów szal“. Jakże znamienny jest np. postępek Kajetana Miączyńskiego. Oslawiony karciarz, łotr i zdrajca wezwany zostaje w r. 1794 przed sąd rewolucyjny. Dowiedziawszy się o tem posyła Kollatajowi swój portret malowany podobno przez Angelikę Kaufman z listem następującym: „Przewiduję, że sąd, nie mogąc mnie żywcem dostać, przyczepi moją facjatę do szubienicy. Posyłam przeto W. Panu konterfekt mój, nietylko podobny, ale pochlebiony, abym się przed publicznością nie pokazał w bohomazie“.

Namnożyło się tego nagle: sztycharek, akwaforcistek, akwatincistek, minjaturzystek, akwarelistek. Ryły w drzewie i miedzi, malowały na papierze, pergaminie, porcelanie i słoniowej kości. Najwyżej urodzone damy, grabinie przenajpierwsze biorą lekcje u mistrzów warszawskich. Godzina przy sztalugach jest tak ważną i modną, jak próba kapelusza u p. Łazarewiczowej. Chodowie-

cki, Marteau, Albertrandy, nawet Norblin z zapalem udzielają tajemnic przyjemnej, zdawałoby się, sztuki malowania. Sprytny i wiecznie łasy na dukaty Norblin przyjmuje tylko damy najwyższego stempla: Krzysia Radziwiłłówna, trzy córki pani Sewerynowej Potockiej, ks. Marja Wirtemberska to jego uczennice. Boże Rafaela, Boże Rembrandta i Van Dycka zmiłuj się nad nami!

W każdym razie jest to dobry pretekst wjazdu w ciepłe kraje. Beata Czacka († 1824) uczyła się w Rzymie u Landi'ego. Malowała wszystko: wielkie kompozycje, obrazy religijne, parę tuzinów portretów. Siostry rodzone i stryjeczne, wujaszkwowie, ciotusie i przyjaciele męża musieli, radzi nie radzi, pozować. Jej córka, pani Stecka, poświęcała się namiętnie akwareli, jej kuzynka Kunegunda Czacka psuła z zapalem miedź i porcelanę. Po matce odziedziczyła takiż „talent“ Mniszchówna, Szczęsnowa Potocka, pracująca lata całe nad portretem św. Filipa Nerjusza do kolan, „dzieło w sposobie wyższym“. Albertrandy miał nawet nieco kłopotu z tym wielce dostojnym malunkiem, umieszczonym w kościele Pijarów. „U góry obrazu — opowiada



Łukasz Gołębiowski w „Opisaniu Warszawy” — była Najświętsza Panna; amatorka od nóg zaczęła ją malować i tak dalece nie zachowała miary, że na głowę nie wystarczyło miejsca; kiedy malarz przekładał, że lepiej było zrobić rysunek całej osoby wprzód i teraz wypada raczej zatrzeć co zrobiono, nie bez żalu rady tej usłuchano. Zamiast N. Panny dane obłoki i tylko u góry dwa pozostały aniolki z myśli pierwotnej.“ Mimo wszystko ambicje malarek były ogromne, damy wzdychały z Niemcewiczem:

Norblain! Gdybym Twój pędzel lekki i przyjemny

Miała; malowałabym las głuchy i ciemny  
I te skały wyniosłe, których wody czyste  
Wieszają na powietrzu pasma przeźrocyste!

Maestro Bacciarelli nie brał tego wszystkiego zbyt serjo. Miał dosyć artystek w domu, bo i żonę i córkę. Dlatego bardzo niechętnie — w przeciwieństwie do Norblina — tolerował białogłowy w malarni królewskiej. I właśnie ze szkoły tego antyfeministy wyszedł jedyny i pierwszy talent kobiecy: Rajcka. A później, po latach, Lesseur znalazł drugą zdolną uczennicę: Tarnowską.



Succu  
T.

**N**a stoliku pędzelki, szklanka wody i pa-  
 letka; w ręku świeżo ukończona mi-  
 njatura. Patrzymy na te przybory zbó-  
 jem, z pod oka i sceptycznie, przypuszczając,  
 że ów cały artystyczny *entourage* płynie z kon-  
 wenansu i jest tylko pustą, bez treści dekorac-  
 cją. Równie dobrze mogła tu być harfa, zwój  
 nut lub piesek bonoński. Otóż nie. Domenico  
 del Frate (1756—1830), twórca tego portretu  
 utrafił w sedno ambicij swego modela. Sztu-  
 ka wogóle, „mała sztuka“ minjaturowa w  
 szczególności, była najgorętszem umiłowa-  
 niem tej stylowej pani, uczesanej *à la Titus*,  
 okrytej jedwabnym oliwkowym płaszczem.  
 W epoce hałaśliwego dyletantyzmu i sno-  
 bistycznych zachwytów nad sztukami pięk-  
 nemi ona, jedna z niewielu, mogła powie-  
 dzieć sobie, że coś umie, czegoś się nauczyła  
 i ma talent nawet, wcale nieprzeciętny, nie-  
 amatorski. Z całego szumiącego tłumu dam  
 amateerek, malujących na przełomie 18 i 19

stulecia ją jedną raczyła nawet zapamiętać historia sztuki i umieścić nie na ostatniem miejscu w skromnej zresztą gromadce rodzimych minjaturzystów. Kto jest ta malująca pani? Opowiada nam o tem bardzo wyczerpująco szczegółowy, ogłoszony przez jej prawnuka, Jerzego Mycielskiego diariusz podróży młodej Polki do Włoch z opisem zabytków i dzieł sztuki Rzymu, Neapolu, Wenecji, Florencji w latach 1803 i 1804. „*Une jeune Polonaise en Italie*“. Tą młodą podróżniczką jest — pani Tarnowska. Dokładniej mówiąc: Walerja z Stroynowskich Janowa Feliksowa Tarnowska, spisująca dzień po dniu miasto za miastem, galerja za galerją wrażenia odniesione w czasie całorocznej prawie podróży po Włoszech. Inna była to podróż, niżli zazwyczaj wojaże epoki oświecenia.

Skończyło się już bezpowrotnie ckiwe, pasterskie, rozpasane *settecento*; damy modne tamtego czasu śpieszyły pod lazurowe niebo Włoch w poszukiwaniu rozmaitych, mniej lub więcej rokokowych przyjemności, pani Tarnowska zaś pojechała w podróż z rodzonym mężem poprostu po to, aby się czegoś

we Włoszech nauczyć. Tak jak ongi szkolarów renesansowych wiodła ją na Południe *bramosa voglia*, zaciekle pasja nasycenia się kulturą Italji. Młoda 22-letnia entuzjastka zdołała w przeciągu 10 miesięcy zwiedzić, obejrzeć i oblać łzami zachwyty wszystko, co w tym czasie uważano za godne widzenia. Nie było chyba pałacu, czy galerji prywatnej, do którejby nie dotarła, nie było kościoła, którego by nie zwiedziła. Jej raptularz podróżny jest nie tylko szczegółowym przewodnikiem artystycznym po ówczesnych zbiorach włoskich, lecz zarazem brewjarzem i zwierciadłem, w którym przegląda się dusza epoki. Epoki szczęśliwej i jedynej w swoim rodzaju. Ludzie wiedzieli wówczas dokładnie co im się podobać może, czego zaś im podziwiać nie wolno. I pilnie przestrzegali recept na piękno, przepisów na „dobry gust“ zarówno w plastyce, jak literaturze.

Rok 1803 i 1804. Jeszcze triumfuje w całej pełni klasycyzm, trwa okres bezbrzeżnej ekstazy dla „jenjusza“ starożytności ukrytego w zwaliskach wieków“, obowiązuje bez zastrzeżeń estetyka starego Winckelmana, wskazującego sztukę grecką jako jedynie



godną naśladowania, zimny profesorski Rafael Mengs, chociaż umarł już dawno, jest zawsze jeszcze przedmiotem wysokiej admiracji, a ideałów jego nie wyparł się nawet wielki malarz neoklasycyzmu, Dawid.

Pani Tarnowska, posłuszna krzewicielka przykazań neoklasycyzmu, zasłuchiwała się najgłębiej i najszczerzej w owe nauki. Interesuje ją, zachwyca, oszałamia prawie wyłącznie klasycyzm i to nietylko w swojej formie czystej lub późniejszej, renesansowej, lecz często nawet w zepsutej i zmanierowanej. Średniowiecze nie istnieje wogóle dla człowieka, obdarzonego „dobrym gustem“. Gotyk wydaje się ludziom ponurem barbarzyństwem. Malarstwo włoskie zaczynało się wówczas od Rafaela. Wielki jest Tycjan, wielki Salvator Rosa, wielki nawet Guido Reni i zmanierowany Carlo Dolci. Na Colleonię nie spojrzysz nawet nasza podróżniczka, obok bazyliki św. Marka przejdzie bez wrażenia, pominie Tintoretta i Tiepola, aby tem więcej zachwycić się gigantyzmem Michała Anioła lub wspałością Tycjana. Podobnie w literaturze wyrocznią i świętością są kanony nowoklasycyzmu. Niema Dantego ani Szekspira,

szczyt „jenjusz“ poetyckiego osiąga w oczach p. Tarnowskiej Delille i Racine, a przede wszystkim Wergiljusz.

W Mantui „złożyliśmy hołd Wergilemu u stóp pomnika poety, przyczem z głębi duszy składałam dzięki Delille'owi, gdyż on to umożliwił mi poznanie twórcy „Enejdy“, on, który Wergilego wziął za wzór i tak znakomicie go naśladował“. Nad wrzekomym grobem rzymskiego wieszczka w Posilippo zrywa p. Tarnowska dwa listki lauru na pamiątkę. Jeden dla siebie, drugi dla znakomitego w jej przekonaniu poety. Zawiezie mu ten listek do Polski, ale z warunkiem, że skończy wreszcie pracę nad przekładem „Enejdy“. Kto jest tym poetą? Cukierkowy pseudoklasyk, Marcin Molski. Zręczny wierszykarz przyjął zapewne ów laurek mantuański wdzięcznem sercem, ale na dokończenie „Enejdy“ nie miał ani czasu ani nakładcy.

Inny przykład gustu epoki. Florencja. Palazzo Corsini. Podróżniczka przystanęła w zachwycie przed „Poezją“ Carla Dolci i zapisuje w swym dzienniku: „Pozdrawiam cię, o piękności! Słodka, świeża, najmiłsza! Ty, którą człowiek najwyżej ceni po dobroci, ty



coś się z uśmiechu bogów urodziła niegdyś. Suknia twoja z błękitu, zasiana gwiazdami, wieńcem lauru ozdobiona. To poezja, którą znam dobrze. Poezja Racine'a, Delille'a, St. Lamberta. I jeszcze kogoś — pozwólcie mi na to wielcy ludzie — poezja naszego, czulego, filozoficznego Kropińskiego“. Pan Kropiński jest autorem „Julji i Adolfa, dwojga kochanków, mieszkających nad brzegami Dniestru“ nad których dolą, narazie tylko z rękopisu znaną, płaczą czule wszystkie rówieśnice pani Tarnowskiej.

Ale tylko pod względem pojęć estetycznych jest ona takim nieodrodnym dzieckiem swego czasu. Etyka, moralność epoki pozostają dla niej czemś obcem. Rokoko już umarło. W skrupulatnym rejestrze i opisie wrażeń artystycznych rzadko słychać o ludziach. Wielki świat nudzi i nawet nuży a może i brzydzi panią Tarnowską. Zaznacza to na każdym kroku, napomykając mimochodem o prezentacji u dworu neapolitańskiego, czy wogóle o wysokich i świetnych znajomościach. Żleby się wybrał, ktoby chciał szukać w tym pamiętniku opisu zabaw, intryg, plotek lub skandalów. Pury-



tanka surowa w dziedzinie sztuki, jest też nią w dziedzinie obyczajów. Rzymską *virtus* pojęła dosłownie. Uwielbia rzymski republikanizm, ale ucieka od rzymskiej swobody życia. Jej kuzynki i starsze, z poprzedniego pokolenia, entuzjastki z Puław i Arkadii, powiedziałyby z ironją, że to niekonsekwencja.

Jest jednak wśród żywych ludzi człowiek, godzien w oczach podróżniczki niemniejszej admiracji, niż najświetniejsze pomniki antyku, żywy wyraz republikańskiej cnoty, „jenjusz“ bieżącej rzeczywistości — *Buonaparte*. Na dźwięk tego imienia temperatura zachwyty podnosi się, słowa płoną, jak gdyby ten „*Buonaparte*“ był nie człowiekiem, lecz mitologicznym herosem, marmurowym arcydziełem klasycyzmu. Pani Tarnowska okazuje się równie zapamiętałą republikanką, jak klasycystką. Narazie niema jeszcze Napoleona I., jest tylko Pierwszy Konsul, zwycięzca z pod Arcole i Piramid, z którego rodziną wchodzi p. Tarnowska w bliski i serdeczny kontakt towarzyski.

„Najszczęśliwsza z matek“ Letycja Bonaparte, siostra konsula, Paulina, niedawno poślubiona księciu Borghese, wuj, kardynał

Fesch, słynny z amatorstwa i znawstwa dzieł sztuki — oto towarzystwo, w którem w Rzymie bywa często i chętnie. *Madame Mère*, dowiedziawszy się, że młoda Polka maluje, pożycza jej dla skopjowania minjaturę syna, pędzla Isabeya. Kopja wypada tak nadspodziewanie dobrze, że zachwycona pani Letycja ofiarowuje kopistce kosmyk włosów syna na pamiątkę. Z zapartym oddechem słucha potem p. Tarnowska opowieści o dzieciństwie Napoleona i zapisuje je skrupulatnie, a gdy kardynał Fesch przybiegnie pewnego dnia z wiadomością o egzekucji ks. d'Enghien, zapłaczą obie nad dolą matki niešťczęśliwego księcia. Lecz tragiczna justyfikacja nie ostudzi jeszcze zapalów wielbielki i to jej nie przerazi, że Pierwszy Konsul wywozi do Paryża najcenniejsze dzieła sztuki włoskiej, ani to, że jej ukochani Włosi odnoszą się do Pierwszego Konsula z nienawiścią.

Glorja, otaczającą głowę Napoleona, zblednie dopiero wówczas, gdy zwycięzca z pod Piramid sięgnie po władzę cesarską! Z przerażeniem dowie się o tem autorka dopiero pod sam koniec podróży w Genui.



„Wielki Buonaparte *zniżył* się tak dalece, że aż sięgnął po tytuł cesarski. Wiadomość ta, którą dotąd uważałam za fałsz lub obelgę, potwierdza się, niestety, oficjalnie.

„A więc zasługi Wodza, Obywatela, Konsula przyćmione zostają koroną, która będzie w rodzie jego dziedziczną!

„Więc Rewolucja francuska tylko na zmianę dynastji się skończy!?

„Oby wielki bohater nie opłacił nowego tytułu życiem, którego Francja dziś tak bardzo potrzebuje.

„Oby krew Ludwika XVI i tylu ofiar niewinnych nie spadła na nieszczęśliwą Francję, którą od dzieciństwa ukochałam, którą nieraz za drugą miałam ojczyznę!“

Ten stanowczy i zapamiętały republikanizm młodziutkiej artystki jest takim samym rozczulającym dokumentem czasu, jak były przedtem listki lauru, zrywane z grobu Wergiljusza, lub zachwyty nad Carlem Dolci, czy autorem „Julji i Adolfa“. Pani Walerja w r. 1804 nie może wiedzieć o tem, co się stanie, nie przeczuwa wojny polskiej, którą cesarz Francuzów wypowie i nie przeczuwa legendy Napoleńskiej, która wkrótce już



rosnąć poczenie i spełni marzenia, nieraz wyrażone z głębokiem westchnieniem w tym dzienniku. Bo chociaż po francusku pisany, jest on dziełem bardzo szczerej i bardzo dzielnej Polki. Polskość swą akcentuje pani Tarnowska na każdym kroku, czy to gdy spotka w Bolonji legjonistów Dąbrowskiego, czy też gdy nieszczęśliwą Wenecję nazwie sojusznicą doli polskiej, lub gdy w wiedeńskim arsenale ujrzy zdobyty na Turkach sztandar Sobieskiego i — obyczajem epoki — wysnuje zeń ukradkiem kilka nitek na pamiątkę.

Ale odbieглиśmy od tematu i od właściwego celu podróży autorki diarjusza, która pojechała pod lazuruwe niebo nietylko po to aby poznać sztukę włoską, ale też aby, o ile możliwości, ujrzyć jej twórców żyjących, aby zobaczyć, jak pracują artyści, nasycić się rozmową z nimi, i samej kształcić się dalej w sztuce malowania minjatur. Największą sławą Włoch był wówczas hetman neoklasycyzmu „Fidjasz XIX wieku“, wyższy, zdaniem ówczesnem, ponad Donatella i Celliniego — Canova. Ujrzałam go wreszcie — zapisuje autorka w zachwyceniu — ujrzałam dzieła, dla których poznania na kraniec świa-

ta pobiec warto. Byłam porwana, olśniona i nieustannie oczy moje szukały tej czarodziejskiej dłoni, która to wszystko stworzyć potrafiła“.

Pomiędzy wielkim rzeźbiarzem i jego polską wielbicielką nawiązuje się odtąd czuła przyjaźń artystyczna, która miała przetrwać wiele lat. Canova opiekuje się studjami pani Tarnowskiej, poleca jej młodego, mało jeszcze znanego portrecistę, Domenica del Frate, którego pp. Tarnowscy sprowadzą sobie do Dzikowa i Horochowa, nareszcie wykonywa dla niej replikę swego „Perseusza“, replikę, której — jak z dumą zaznacza autorka „— nie ofiarował żadnemu z monarchów, chociaż mu więcej zapłacić chcieli“. Przypuśćmy. Dokumentem przyjaźni „Fidjasza“ i pani Tarnowskiej będzie również ich korespondencja wieloletnia. Listy Canovy znajdują się dziś w archiwum dzikowskiem, listy pani Tarnowskiej w muzeum im. Canovy w Bassano. Na pamiątkę pobytu we Włoszech rzeźbiarz ofiaruje p. Tarnowskiej swój portret, płaskorzeźbę z białego marmuru.

Kolejno odwiedza p. Tarnowska pracownię malarzy. Najpierw składa hołd sędziwej, już



83-letniej Angelice Kaufman. *La douce Angélique* ułatwia jej zakupno rozmaitych dzieł sztuki, za jej to pośrednictwem pojedzie do Dzikowa Van Dyck, ów piękny i nieraz omawiany portret księżniczki Buckingham.

Malarze włoscy, zasłyszawszy o entuzjastycznej Polce, garną się chętnie do jej towarzystwa, korzystając skwapliwie z tego, że goście z dzikiego kraju przywieźli wiele dukatów i łożą je szczerze na zakupno dzieł sztuki, z których potem powstanie galerja obrazów w Dzikowie. Poznaje tedy pani Tarnowska słynnego portrecistę Landiego, poznaje Camuciniego, Fabre'a i Guerina, a z pejzażystów Denisa i Fidanę. Ten ostatni wprowadza młodą adeptkę w dom siostry Rafaela Mengsa, sędziwej i słynnej p. Teresy Maron. Signora Maron uczy p. Tarnowską tajemnic techniki minjaturowej, jej uczeń zaś Cherubini daje lekcje rysunku. Pod ich przewodem rozwinie się talent młodej minjaturzystki, która początki przywiozła już z Polski, uczył ją bowiem zapewne jeszcze w Warszawie i może w domu rodzicielskim w Horochowie słynny i pilny malarz stanisławowski, Lesseur-Leserowicz. Sławny zbiór minjatur



jego pędzla, gdzie skopjował wiele zaginionych dziś oryginałów, ozdobi później zbiory zamku w Dzikowie.

Po całorocznym wszędy najmiłszym wojażu wróciła p. Walerja do ojczyzny. Wiozła ze sobą całą kolekcję dzieł sztuki, wśród których był i Van Dyck i Salvator Rosa, i rzekomy Holbein, wiozła wiele płócien włoskich, flamandzkich, holenderskich i francuskich, szczególnie, że udało jej się tyle skarbów nagromadzić i wysłać na swój powiat.

Morzem do Gdańska płynął wspaniały marmur Canovy, „Perseusz“. Lecz stało się tak, że ten przekosztowny i najbliższy sercu pani hrabiny nabytek nie ozdobił dzikowskiego zamku. Sklepienia okazały się za słabe, aby utrzymać ciężar marmuru, tedy wysłano go na Wołyń do Horochowa, gdzie stanął w domu ojca autorki, aby później, po latach, gdy już nie będzie przy życiu admiratorki jego mistrza — zostać sprzedanym do Ameryki.

Ale najcenniejszą zdobyczą wojażu będzie rozwinięty talent malarski. Nabrała nieco zaufania do swych sił i zaczęła skwapliwie malować. Będzie to czynić zawsze z największą skromnością i pokorą, nie przypu-

szczając, że jej minjatury wyrżą kiedyś z gablot zamku dzikowskiego, że z licznych wykonanych przez nią kopij niektóre pozostaną, jako jedyny ślad po zaginionych oryginałach. jak np. minjatura pani Bystrej, kopja z portretu E. L. Vigée-Lebrun. Produkcja oryginalna artystki nie wykraczała poza portrety rodzinne, wymienione i opisane w katalogu Boloż-Antoniewicza. Najlepszy wśród nich portrecik ojca ujawnia dobrą szkołę artystki, świadcząc o zadziwiającej, niebyłejakiej sprawności. W tych miłych domowych malunkach „szczęśliwa córka“ opanowała sekrety techniki minjaturowej i posiada wszystko, czego wymagał od malarza wiek XVIII, a więc polor, miękkość tonu, przyjemną, pieściwą karnację i słodkawy wdzięk. Tem bardziej zaś wzrośnie wartość tych pieścidełek, jakimi są minjatury Walerji Tarnowskiej, gdy się wspomni masową, epidemiczną produkcję malarską innych współczesnych niedouczonych amateerek, które, marząc daremnie o laurach „boskiej Angeliki“ czy pani Lebrun, przyprowadzały do rozpacz swych bezradnych nauczycieli. Powiedzieć, że Walerja Tarnowska jest wśród nich najpierwszą, *pri-*

*ma inter pares*, znaczyłoby skrzywdzić tę miłą postać entuzjastki. Wyprzedza je bowiem wszystkie o sto mil. Więc miał rację Domenico del Frate, gdy odtworzył panią Tarnowską przy paletce z farbami, z minjaturą w ręku.

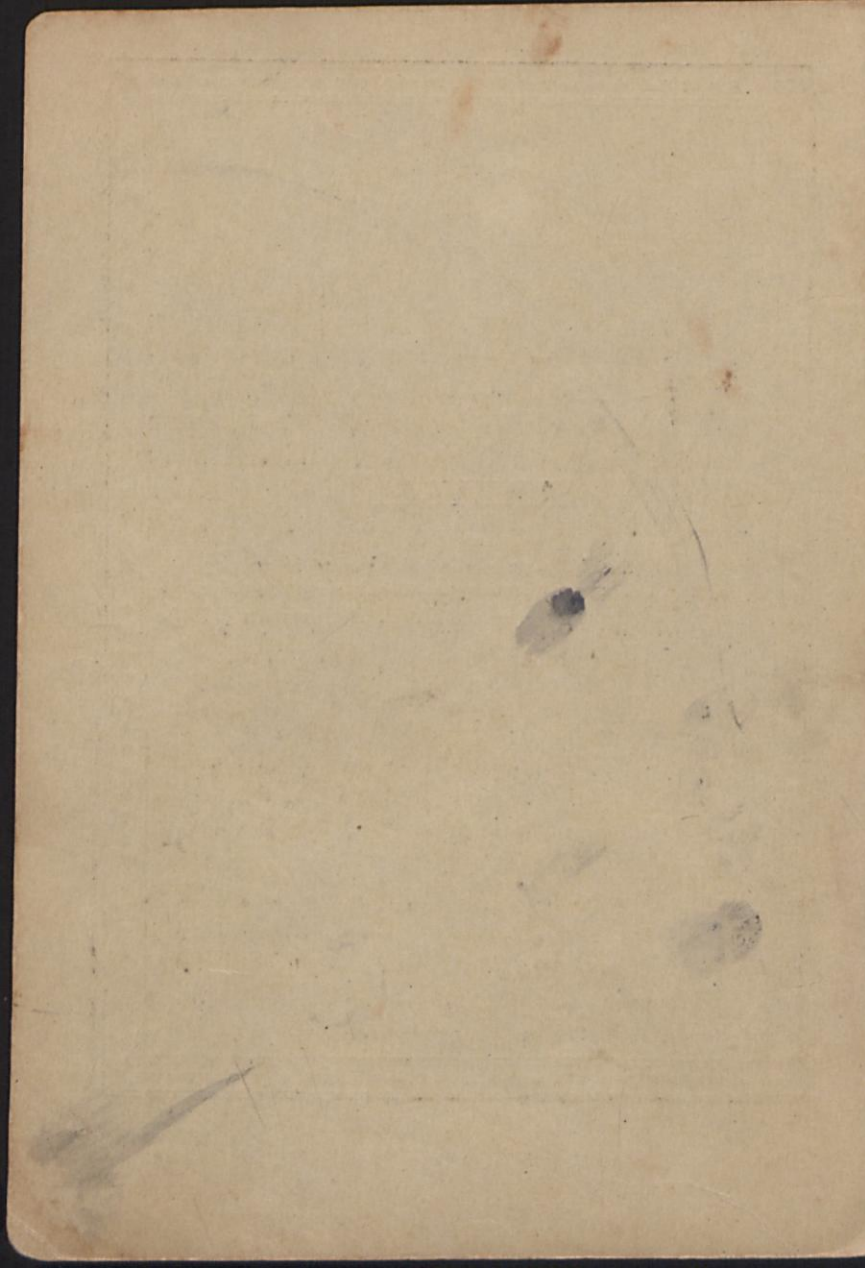




# KRZYSIA

*...Miło na słodki widok obrócić źrenicę  
Na tę w pierwotnym kwiecie niewinną dziewicę.*

J. U. Niemcewicz (1798).





**M**ilady Craven, wróciwszy z podróży po Polsce, rozповідаła Anglikom różne dziwy o zwyczajach, jakie panują w tymże dzikim kraju. Zapewniała tam, że matrony polskie, bojąc się bardzo o cnotę swych córeczek, uwieszają im na szyjkach dzwoneczki, aby słyhać było, ilekroć panna wybiegnie z domu samochcąc.

Wiadomo, że w rzeczywistości działo się wprost przeciwnie. Damy stanisławowskie, rozpierane do siwego włosa ambicjami erotycznymi, miały zbyt wiele przeważnych kłopotów, aby jeszcze martwić się wychowaniem swych córek. To też podlotki rosły samopas w atmosferze swobodnej, w powietrzu pachnącem i zatrutem.

Wychowywała dziewczątka guwernantka francuska, której wiek podeszły nie pozwalał już być heterą, uzupełniał edukację salon modniarski panny Łazarewicz, oraz „balik dziecinny“, przyjemna nowość epoki, ulu-

bione miejsce schadzki adonisów z mamusiami. Poza tem panny matek swych prawie nie widywały. Marszałkowa Lubomirska doznawała spazmów na widok swych córek. Sewerynowa Potocka truła życie swym trzem pociechom w sposób wyszukany.

Córki niemoralnych i lekkomyślnych mamusieczek przeszły wszelako twardą szkołę moralną. Nad kołyską ich stało, jakże często, widmo jadowitej plotki i kładło się potem ponurym cieniem na drodze życia. Czasem poeta niektóry załamał ręce:

Wszystkie narody ochrzczone czyli obrzezane  
Pod bezecnej potwarzy władzę są oddane.  
Muszą na sobie nosić jej ustawy krwawe,  
Bo sobie za stolicę obrała Warszawę!

I oto skąd brała swe źródło przesmutna i posępna melancholja niejednej z dziewcząt, stąd pustelniczy tryb życia u niektórych, lub arcyprzykładne później życie małżeńskie. „Uważały się, mówi St. Foix, za ofiarę gniewu Bożego, dźwigającą na swych barkach brzemie niegodziwości ojców“. Jakże znamienym typem jest choćby owo smutne dziecko miłości, śliczna panna bez nazwiska, zwana Cecylją Beydale, nieszczęśliwie do końca ży-

cia rozkochana w swym bracie przyrodnim ks. Konstantym Czartoryskim. I może dlatego nauczyły się często różnych rzeczy, których nie dostawało rodzicom. Wyrosły inne. Mateczkom naprzekór, historii na pociechę. Typ kobiecy zmienił się teraz do gruntu. Cóрка swawolnej kokietki wyrosła na wzorową żonę i matkę, pielęgnującą wszystkie cnoty domowego ogniska. Najpiękniejsza z kobiet w epoce Księstwa była podobno najcnotliwszą (Zofja z Czartoryskich Zamoyska), najmądrzejsza wiodła żywot klasztorny (ks. Marja Wirtemberska), córka pani Grabowskiej słynęła ze skromności, słodczy i „małego trzymania o sobie“.

Nieco innym tonem i sposobem mówić będą o nich wkrótce ludzie na świecie. Użyją określeń, zakrawających do niedawna na *mauvais genre*.

„...Oto jedna z tych istot wyjątkowych, które nawet w umysłach wątpiących obudzają wiarę w godność i szlachetność natury ludzkiej“ — pisze nieskory do zachwytów człowiek o Zofji Zamoyskiej. „Harmonja wszystkich zalet i przymiotów tworzyła całość tak doskonałą, iż śmiało ją nazwać można



było żyjącem arcydziełem!“ Dodać warto, że dotyczą wszystkie te superlatywy kobiety, którą malowali Greuze i Gérard, pani Lebrun, Füger, Isabey, przed którą klękały na kongresie wiedeńskim króle Europy.

Nie wszystkie, naturalnie. Bo ileż było takich, które niczego się nie nauczywszy i o niczem nie zapomniawszy, wyrosły jako nieodrodne latorośle rokokowej grzedy. Wystarczy choćby wskazać nieznośną, zarozumiałą i do szpiku kości wynarodowioną jędnaczkę Różyczki z Czarnobyła, czy potworną Naryszkinę z domu Czetwertynską, czy wreszcie nie lepszą od matki córkę marszałkowej Lubomirskiej, żonę emira Rzewuskiego.

Lecz jedna jest postać dziewczęcia, może najmiłsza ze wszystkich, w której, jak w żadnej innej, wyraziło się smutne piękno i przejmująca dramatyczność losu.

Krzysia Radziwiłłówna, ukochana córka uwielbianej westalki z Arkadii, której radosne życie, rozkołysane wdzięcznym rytmem Mozartowskiego menueta, skończyło się nagle akordem *funèbre*.

Przyszła na świat prawie razem z modną piosenką o Krzysi, która „wszystko będzie

miała, byle tylko sama chciała“. Panna Du-houx d’Affincourt zastępowała jej matkę, Vestris uczył ją kontredansa, Manarelli gry na gitarze, Norblin malowania „guaszą“.

Maman arkadyjska chciała z niej mieć królowę, koniecznie królowę, a już co najmniej żonę falegrafa, kronprinca lub jakiegoś udzielnego władcy. W wielkim tygodniu 1792 roku weszła po raz pierwszy w świat na kweście warszawskiej, a wkrótce potem lornetował ją dwór saski (ten sam dwór na którym ongi błyszczała Amelja z Brühlów). Zgodzono się, że kolorek jej cery jest olśniewający i fenomenalny, prawie zbliżony do najwyższego ideału epoki. (Ten ideał barwy rokokowej był, nawiasem mówiąc, nieco skomplikowany: *cuisse d’une nymphe emue*, kolor uda nimfy podnieconej).

Sam król pruski, odwiedzwszy Arkadję, „wychwalał Krystynkę we wszystkim a mianowicie we wdziękach tańcowania i patrząc na kontredansa mówił, iż chciałby, aby pruskie damy widziały, jak polskie tańczą“. Lecz roztąńczona Krysia nie słyszała, co o niej mówią i dobrze, że nie słyszała; bo nie dobiegł był do jej uszu niesmaczny dowcip



Nestora Sapiehy, zapisany w pamiętnikach Engelstroema.

Wyfrunąwszy w świat odnosi Krzysia świetną wiktoryę na parkietach dworu saskiego. Dwudziestoletni kronprinc, ks. Ludwik pruski, pokochał się w niej na zabój. Od pierwszego wejrzenia pokochał się i zaraz potem pojechał na wojnę, albowiem był dzielnym żołnierzem. Walcząc ostro pod murami oblężonej Moguncji, pieścił w sercu obrazek olśniewającej dziewczeczki.

Projekt marjażu omawiano szeroko na dworach Europy, uważając, że dzielny książę jest zewszecchmiar godny Krystynki, którą już nazywano udzielną księżniczką. „Byle tylko sama chciała“. Ale Krzysia nie chciała. Ks. Ludwik pruski odniósł ranę pod Moguncją (1793), został za to generałem i jeszcze bardziej kochał księżniczkę.

Wszystko to mało interesowało Krzysię. Nie mogła się cieszyć ani zwycięstwem pod Moguncją, ani miłością Prusaka, gdyż — rzecz dziwna — w tem dziecku arkadyjskiej kosmopolitki biło głośno pospolite serce polskie, a to był właśnie wrzesień r. 1793, data niecnego sejmu grodzieńskiego. Gdy zaś



wkrótce potem zaprzędana Rusekowi mamusienka podążyła nad Nową zabiegać o łaskę Katarzyny, Krzysia została w Warszawie i z biciem serca czekała na kosynierów Kościuszki. I doczekała się. W ślad za matką poszedł wkrótce taki list o Racławicach, list, który mamezina z kwaśną zapewne odczytała miną:

„Ach mammo, droga mammo! Czyż niema z czego być dumną i szczęśliwą... Od kilku dni mówią o drugim zwycięstwie naszych, mówią, że Kościuszkó idzie na Warszawę. Podał on już raport pierwszej wygranej. Chciałabym, aby go mamezina czytała, co w nim za godność i skromność, ani jednego słowa przesady. Sami Rosjanie to przyznają“.

Wbrew nakazowi rodziców zostały obie z siostrą Anielą w Warszawie, nie bały się Insurekcji. Kartacze gwizdały nad pałacem, kula armatnia ugrzęzła w ścianie, za którą kryją się przeleknione dziewczątka. Aż i w ostatnich dniach maja zabrano Krzysię z Warszawy przemocą, pod strażą huzarską. Do Dreżna wiezie ją matka dla rozrywki, bo była przygnębiona i dla kuracji, bo była blada

i wąta. „Wszystko Krzysiu będziesz miała, byleś tylko sama chciała“. Jakoś nie wszystko, ona bowiem chciała zostać w Warszawie i doczekać ostatecznego zwycięstwa.

Jechały z dworem całym w kilka pojazdów w sześć ładownych wozów, z sypialnią, kuchnią, gotownią, nawet biblioteką, bo niewiadomo na jak długo.

Droga wiodła z Przygodzie na Oleśnicę, ku granicy śląskiej. Wtem, tuż nad granicą, obskoczą ich powstańcy. Wzrok dziki, suknia plugawa. Starcie z pachołami i huzarami cwałującymi przy karetach. *Quelle affreuse affaire!* Na starej kochanicy ambasadorów cierpnie skóra. Przeczuwa wszystko najgorsze i też wszystko najgorsze było możliwe.

Obie z matką aresztowane. Wozy ładowne poddano surowej rewizji. Żołnierze kościuszkowscy plondrują w najlepsze w książęcych walizach i łomokach. Szukają dokumentów zdrady. Wiadomo bowiem kto jedzie: magnatka zaprzędana całą duszą Rosji. Wśród mnóstwa rozrzuconych drobiazgów wpada im w rękę safjanowe, kosztowne album westalki z Nieborowa. Rewizja albumu. Z pomiędzy złożonych, napachnionych kart



wypada na ziemię rysunek. Tym właśnie gwaszem rysowany, którego ongi uczył dziewczkę pan Norblin. Rysunek przedstawia — Tadeusza Kościuszkę. U spodu podpis: *Christine*. To właśnie Krzysia nakreśliła na pamiątkę dla matki profil ukochanego przez siebie (tylko przez siebie!) bohatera z perkatym noskiem. Kto to jest ta Krystyna? pytają zadziwieni towarzysze chorągwi narodowej. Krzysia wychyla się z karety: To ja! Momentalna zmiana nastroju. Portrecik Naczelnika, umieszczony na chorągwi obnoszono po całym obozie wśród rzęsistych okrzyków: Wiwat Krystyna! Uratowała matkę, siebie i dobytek. Pół żywa ze strachu kochanica ambasadorów rosyjskich odetchnęła i odzyskała kontenans. Klaniając się, dziękując, wśród okrzyków salutującego oddziału odjechała ku granicy, bezpieczna z córką i grami.

Znowu Drezno, ale już bez rycerza, który odniósł ranę pod Moguncją. Krzysia spostrzegła nagle, że go wcale nie kocha, a spostrzegła to w chwili, gdy na salonach mamusi pojawił się cudny jak marzenie młodzian, w którego pióropuszech i szamerunkach, w atlasach



haftowanych w żółte i fioletowe astry lśniły wszystkie odcienie tęczy i wszystkie barwy pawiego ogona. Był to senor Don Quinonez, ambasador króla Hiszpanji na dworze saskim. Mężczyźni wieku XVIII-tego ubierali się kolorowo, jak kobiety, lecz od najbarwniejszego fircyka barwniejszym był ambasador w paradnym uniformie, a znów wszystkich ambasadorów zaćmiewał polichromją szatek poseł hiszpański, w Polsce zwał się on senor d'Aranda, w Saksonji Don Quinonez. Przyślano go do Drezna, aby starał się o rękę infantki polskiej dla księcia Asturji. Ujrzawszy Krzysię, zapomniał Don Quinonez o swej misji i zamiast prowadzić rokowania o infantkę w imieniu księcia Asturji, oświadczył się sam o córkę Radziwiłła.

Lecz człowiek o miłodźwięcznem nazwisku i najbarwniejszym ubiorze nie zaimponował wcale księciu-papie. Gdyby o samego księcia Asturji chodziło, namyślałby się bardzo, a cóż dopiero jakiś jego pośrednik. Aktualnie dlatego uważali Radziwiłłowie ten marjaż za wykluczony, że dopiero co syn ich Antoni zaręczył się z Luizą pruską, która nie mogła przecież być bratową pana de Quinonez.

Hiszpan, chociaż wydał się Krzysi nade-wszystko *chéri et désiré*, dostał rekuzę zimną i stanowczą. Drezno było niepokieszone, damy ubolewały rzewnie nad niedolą Krzysi, która „w swem miłem ułożeniu umiała sobie zjednać sympatję towarzystwa“.

Luiza pruska, czując, że stoi na przeszkodzie związkowi miłości, zabiegała ze wszystkich sił, aby starego Radziwiłła skłonić do zmiany postanowienia. Zapewnia nas o tem sama w swych pamiętnikach. Daremnie. Rekuza, którą otrzymał Hiszpan, stała się głośną w całym oświeconym świecie. Encyklopedysta Grimm wspomina o niej w jednym z listów do Katarzyny II-giej.

Na rozkaz srogięgo papy wróciła zbolala Krzysia do pruskiej już Arkadji i miała nad czem płakać. Straciła narzeczonego, straciła Ojczyznę, świeżo bowiem podpisano trzeci rozbiór Polski. Czekala ją podróż do stolicy północy, której więźniem był od niedawna ukochany bohater księżniczki.

Nie w smak poszedł Katarzynie związek Radziwiłłów z Hohenzollernami. Wyfukawszy się więc dosyta na uniżoną zawsze wobec tronu westalkę z Arkadji, zawezwała ją naj-

czulszemi słowy do siebie. Niech koniecznie przyjeżdża zaraz nad Nową i to razem z córką, którą „najmiłościwiej mianujemy pierwszą frejliną honorową naszego imperatorskiego dworu“.

Arkadyjska pani wzięła tę nominację jako wielki akt łaski, winszowała sobie tego zaszczytnego sukcesu Krzysi i oblała go słodkimi łzami radości. Nie było naturalnie mowy ani o jednym ani o drugim. Katarzyna zawezwała Krzysię do siebie poprostu dlatego, aby jej nie wypuścić z rąk. Wściekła była o małżeństwo ks. Antoniego z Hohenzollernówną, bała się, że i Krystynę wydadzą także za jakiego kronprinca, albo też przewróci jej do reszty w głowie szalona irredenta polska. Tu zaś wypłoszy się pannie z głowy kościuszkowskie egzaltacje i wychowa na wierną, jak maman, adherentkę Petersburga.

Jeszcze Krzysia spojrzała po raz ostatni w oblicze zgnębionego Stanisława Augusta w Grodnie, jeszcze wytańczyła się na weselu brata, ubrana w najdroższą toaletę, jaką najpierwszy w Europie krawiec, Cortet et fils w Lionie stworzyć potrafił (batyst *linon* z wiązańkami kwiatów, na tem tunika turecka



haftowana drogiemi kamieniami i girlandami róż) poczem zagarnął ją Petersburg.

Było to u schyłku roku 1795-tego, w mieście po abdykacji St. Augusta i ostatnim rozbiórze. Pierwsza frejlina honorowa dworu cesarskiego nie miała czasu myśleć, nie miała przed kim płakać. Otluszczona, rozpasana i ciągle jeszcze chora na „satyriasis“ impieratrica przypominała jej do złudzenia starą wiedźmę z kraju Hotentotów, którego opis czytała zapewne w *Bibliothèque universelle des dames*.

Obowiązki pierwszej frejliny były liczne, monotonne i nużące. Warszawskie przyjaciółki Krzysi, Izia Grabowska i Monika Sobolewska wkrótce dowiedziały się o tem z jej listu: „...Te wieczory, te przyjęcia! Wkółko jedno i to samo. Przychodzi się, rozmawia, śmieje się, nudzi, potem zjada kolację i jedzie do domu. Szczególne w tem wszystkim jest tylko to, że ja właśnie jestem frejliną honorową (*demoiselle d'honneur*), która stale przebywa u dworu i musi dźwigać ciężar wszystkich reprezentacyj, zawsze pierwsza prowadzona do stołu i na najpierwszem sadowionym miejscu. Na koncert czy widowisko zawsze

mnie się dostaje najlepsze miejsce, nawet przed Matką i byłoby wielkiem uchybieniem bronić się przed tem lub ustępować. Wszelako zaczynam się już przyzwyczajać“.

A teraz rozkład zajęć Krzysi:

„O 11-tej zrana już jestem gotowa *en robe de cour*, i — wyobraź sobie — jadę samiutka jedna sześciokonną landarą w towarzystwie dwóch pokojówek. Potem muszę przejść wszystkie korytarze pałacu, aby dostać się do naszej mistrzyni. Potem w komplecie idziemy na salony. Widziałam niedawno Walerjana Zubowa, który jest bardzo interesujący z tą swoją drewnianą nogą“.

O 2-giej obiad u stołu cesarzowej. Po prawej ręce imperatorowej siedzi Platon Zubow, albowiem to jest jego epoka, epoka ostatniego faworyta rozpustnicy (1792—1797). Niewiadomo, jak należy mówić przy stole, gdyż chorą na histerję ucha Katarzynę doprowadza do pasji raz głośna raz znów cicha rozmowa. Nadmiernie umalowana, zmarszczona jak gąbka, monarchini zjada swą ulubioną potrawę: „sztukamię“ z ogórkiem i popija wodą z ukochanym sokiem porzeczkowym. Obyczaj przy stole surowy, purytański. Kata-



rzyna II-ga dba wielce o cnotę swych pannen honorowych. Wstydliva i przesadnie skromna w rozmowie, jak wszystkie rozpustnice. Admirala Johnsa, który ubliżył jakiejś frejlinie, posyła odrazu w „duraki“. Krzysia nie zna wielu tajemnic pałacu taurydzkiego. Panny honorowe nie mają wstępu do sypialni carycy, ze względu na treść rozpustnych obrazów; nie wiedzą poco tam tyle luster, a też nie mają pojęcia o tych symposiach, jakie się tam odbywają w małym kółeczku pod osobistą komendą Katarzyny.

Naogół niewola petersburska nie jest ciężka. Dwór olśnił pannę, ale i panna olśniła dwór. Żaden spacer, żadna gra towarzyska nie da się pomyśleć bez Krzysi. Wielcy książęta przepadają za jej towarzystwem. Kokietuje zlekka młodziutkiego ks. Adama Czartoryskiego, wywija kozaka z przyszłym Aleksandrem I-szym. Czasem jedenaście tur menueta wypadnie przetańczyć wśród oklasków w Carskiem Siole. *A Carskoje Sielo on s'amuse à merveille!* pisze roztańczona do Warszawy. Współ-jeniec Adal Czartoryski również nie markoci się wśród tych płasów.

W tym samym czasie i w tem samem mieście



siedział już od roku w twierdzy z obandażowaną głową i niezgojonemi ranami więzień imperatorowej — *Cette bête de Kostiouschka*, jak raczyła Katarzyna napisać do pana Grimma. Zapewne myślała o nim czasem jego entuzjastyczna ongiś wielbicielka, teraz rosyjska frejlina honorowa.

15 listopada 1796 roku rano wierny kozak Katarzyny, Zachar, wszedłszy do wygódki, w której monarchini zbyt długo się zatrzymała, wyniósł ją stamtąd na rękach konającą. Przez trzy dni umierała. Platon Zubow biegł przerażony z rozczochranemi włosami. Frejliny dworskie z Krzysią na czele straciły głowę. „Dostaliśmy się z bratem — pisze ks. Adam Czartoryski — aż do pokoju, w którym cesarzowa leżała bez życia, rozciągnięta na materacach, chrapiąca śmiertelnie, jak machina, której ruch ustaje“. Umarła nareszcie. Przez sześć tygodni, dniem i nocą wysocy dygnitarze, damy portretowe, kawalerowie przydworni i frejliny honorowe pełniły służbę przy katafalku. Wśród nich Krzysia, bledsza niż zawsze, upadająca ze znużenia. Potem pogrzeb. Rząd, dwór i wojsko maszerowało pieszo w dwóch sze-

regach na drugi koniec miasta. Damy w żałobnych strojach, bez pudru i okrycia na głowach, od świtu do ciemnej nocy marzły na wietrze i mrozie. Czartoryski zachował pamiątkę tego pogrzebu w postaci odmrożonych pono na całe życie palców, pierwsza frejlina honorowa miała zapłacić jeszcze więcej. Śmiertelne mrozy owiały delikatną pierś dziewczątka. Nazajutrz zachorowała, a do przyjaciółek warszawskich wysłała taki list smutny:

„Życie, sen, który mija, zanim się pomiarkujemy, zanim skorzystamy z chwili!

„O jakże bardzo chciałabym wrócić do tych czasów, które spędzaliśmy razem.

„Ale tak coś przeczuwam, że nie powrócą już nigdy.“

Nad gasnącem życiem Krzysi czuwali w Petersburgu oboje rodzice bezradni. Zdaje się, że nie doczekała nawet uwolnienia Kościuszki z więzienia. „Zagrobowa ręka — pisze jej prawnuk — przywłaszczyła sobie na zawsze tę, która cesarzowej służyć zaczęła. Westalka z Arkadij spłaciła straszny dług Petersburgowi“. Śmierć uroczego dziewczątka dotknęła matkę może i bardzo, ale

rokoko oduczyło ludzi nawet szczerego bólu. Więc pocieszyła się rychło projektem okazałego grobowca pod ołtarzem w Arkadji, gdzie spocząć miały prochy Krzysi i jej siostr, a do safjanowej książeczki, tej samej, z której wypadł ongi portrecik Kościuszki, wpisała na cześć córki czuły czworowiersz z Parny'ego:

*Ainsi le sourire s'efface,  
Ainsi meurt sans laisser de trace  
Le chant d'un oiseau dans le bois.*

Na tle ostatnich promieni zachodzącego słońca, w leśnej głuszyźnie gasnącego dnia wymalował Grassi księżniczkę, która kochała Kościuszkę i tańczyła menueta na dworze Katarzyny. W tej postaci i w tym obrazie jest coś jakby symbol epoki, która także skończyła się i zgasła na zawsze. Krystyna Radziwiłłówna, ostatnie, najmłodsze dziecko rokokowych czasów, uosabia potroszę ich smutne i urocze piękno.

K O N I E C.

Publiczna Biblioteka Miejska  
w Zamościu

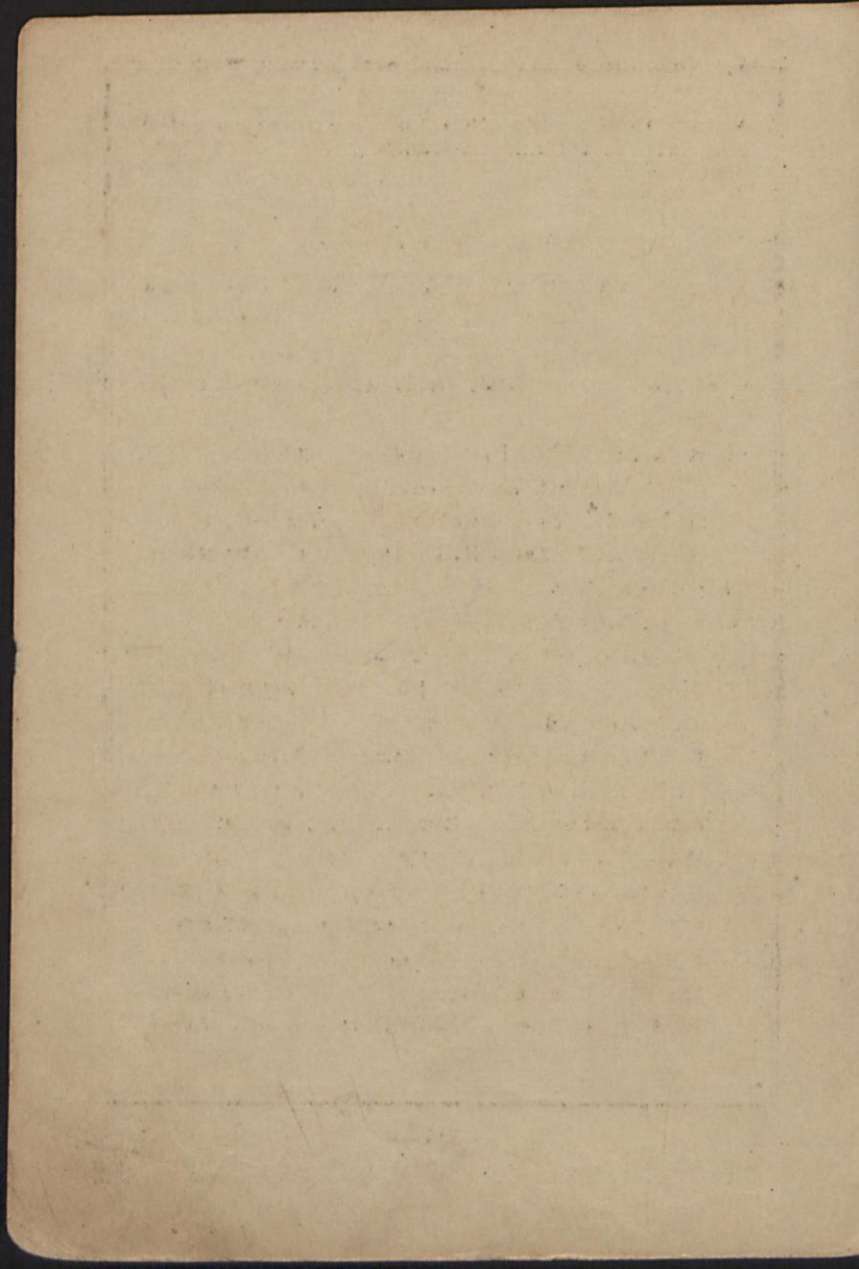
Przy Przysiężnym



\*\*\*\*\*

## SPIS RZECZY.

|                                         |     |
|-----------------------------------------|-----|
| I.                                      |     |
| Sybilla z Puław . . . . .               | 1   |
| II.                                     |     |
| Westalka z Arkadii . . . . .            | 27  |
| III.                                    |     |
| Lady Makbet w Marji Malczewskiego . . . | 45  |
| IV.                                     |     |
| Siostra kompanji de mops . . . . .      | 67  |
| V.                                      |     |
| Różyczka z Czarnobyła . . . . .         | 89  |
| VI.                                     |     |
| Warszawianka . . . . .                  | 113 |
| VII.                                    |     |
| Małżonka króla Imci . . . . .           | 125 |
| VIII.                                   |     |
| Sanguszko i Julja . . . . .             | 133 |
| IX.                                     |     |
| Podróże i malatury pani Tarnowskiej . . | 143 |
| X.                                      |     |
| Krzysia . . . . .                       | 165 |



BIBLIOTEKA  
LAUREATÓW NOBLA

---

Dotychczas ukazały się następujące utwory:

TOM

1. ROMAIN ROLLAND — Colas Breugnon.
2. RABINDRANATH TAGORE — Opowiadania.
3. MAURYCY MAETERLINCK — Życie pszczoł.
4. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON - Synnöve Solbakken.
5. RUDYARD KIPLING — Księga dżungli.
6. RABINDRANATH TAGORE — Rozbicie.
7. SELMA LAGERLÖF — Tętniące serece.
8. FRANCE - Poglądy ks. Hieronima Coignarda.
9. TAGORE - Sadhana - Szept duszy - Zbłąkane ptaki.
10. KAROL SPITTELER — Imago — Romans.
11. HENRYK PONTOPPIDAN - Djabeł dom. ogniska.
12. KNUT HAMSUN — Błogosławieństwo ziemi.
13. MAURYCY MAETERLINCK — Intelig. kwiatów.
14. KAROL GJELLERUP — Pielgrzym Kamanita.
15. RUDYARD KIPLING — Druga księga dżungli.
16. RABINDRANATH TAGORE — Wspomnienia.
17. MAURYCY MAETERLINCK — Wielka tajemnica.
18. PAWEŁ HEYSE — L'arrabbiata — Nowele włoskie.



TOM

19. RUDYARD KIPLING — *Stalky i Sp.*
20. KAROL GJELLERUP — Dojrżeli do życia.
21. KNUT HAMSUN — Głód.
22. HENRYK PONTOPPIDAN — Ziemia obiecana.
23. KAROL GJELLERUP — Wędrowcy świata.
24. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON - Tomasz Rendalen.
25. R. ROLLAND — Dusza zacczarow. I. Anetka i Sylwja.
26. VERNER v. HEIDENSTAM — Hans Aljenus.
27. R. ROLLAND — Dusza zacczarowana II. Lato.
28. PAWEŁ HEYSE — Wesele na Kapri — Nowele włoskie.
29. SELMA LAGERLÖF — Gösta Berling.
30. WŁADYSŁAW ST. REYMONT — Pęknięty dzwon.
31. GERHARD HAUPTMANN — Głupiec.
32. MAURYCY MAETERLINCK — Gość nieznany.
33. KAROL SPITTELER — Konrad porucznik. Gustaw.
34. MAETERLINCK — Mądrość i przeznaczenie.
35. KNUT HAMSUN — Kobiety u studni.
36. JACINTO BENAVENTE — Żle kochana.
37. ROMAIN ROLLAND — Jan Krzysztof — Tom I.
38. SELMA LAGERLÖF — Maja Liza.
39. RUD. EUCKEN — Wielcy myśliciele — Tom I.
40. RUD. EUCKEN — Wielcy myśliciele — Tom II.
41. YEATS — Opowiadania o Hanrahanie rudym.
42. GJELLERUP — Gdym po raz pierwszy ujrzał ją.
43. RABINDRANATH TAGORE — Gora.
44. ROMAIN ROLLAND — Jan Krzysztof — Tom II.
45. MAURYCY MAETERLINCK — Skarb ubogich.

TOM

46. RUDYARD KIPLING — Kim.
47. KAROL GJELLERUP — Młyn na wzgórzu.
48. ROMAIN ROLLAND — Jan Krzysztof — Tom III.
49. MAURYCY MAETERLINCK — Życie termitów.
50. ROMAIN ROLLAND — Jan Krzysztof — Tom IV.
51. RABINDRANATH TAGORE — Dom i świat.
52. SELMA LAGERLÖF — Charlota Loewenskoeld.
53. KNUT HAMSUN — Ostatni Rozdział — Tom I.
54. KNUT HAMSUN — Ostatni rozdział — Tom II.
55. PAWEŁ HEYSE — Kleopatra i inne nowele.
56. R. ROLLAND — Dusza zaczarow. III. Matka i syn.
57. MAURYCY MAETERLINCK — Śmierć.
58. RABINDRANATH TAGORE — Zerwane pęta.
59. KNUT HAMSUN — Misterje.
60. BERNARD SHAW — Miłość wśród artystów.
61. RUDYARD KIPLING — Światło, które zagasło.
62. GRAZIA DELEDDA — Tęsknoty.
63. HENRYK PONTOPPIDAN — W czepku urodzony I.
64. HENRYK PONTOPPIDAN — W czepku urodzony II.
65. MAURYCY MAETERLINCK — Życie przestrzeni.
66. GRAZIA DELEDDA — Annalena Bilsini.
67. KNUT HAMSUN — Włóczęgi.
68. SELMA LAGERLÖF — Anna Svärd.
69. RUDYARD KIPLING — Gawędy z pod Himalajów.
70. GERHARD HAUPTMANN — Wyspa wielkiej matki.
71. RUDYARD KIPLING — Kapitanowie-Zuchy.

ST. ADAMCZEWSKI  
SERCE NIENASYCONE

Książka o Żeromskim

Str. 438 wielkiej 8-ki z 8 ilustracjami.

Piękna okładka T. Rożankowskiego.

Luksusowe wydanie na papierze bezdrzewnym.

Cena zł 25.—, opr. zł 33.—.

GŁOSY PRASY:

„Uwielbienie połączone z własnym talentem pisarskim Adamczewskiego sprawia, że książka jego stanowi świetną lekturę literacką, pomimo pozorów pedantycznej naukowości“.

Jan Lorentowicz, „Dzień Polski“.

„Konsekwentnie przemyślaną, źródłowo opracowaną, opartą o szczegółową analizę, umiejętnie związaną syntetycznie, obejmującą całokształt artyzmu Żeromskiego monografię dziś już mamy. Jest nią książka Stanisława Adamczewskiego p. t. „Serce nienasycone“.

Kazimierz Czachowski, „Gazeta Polska“.

„Śmiałość autora pozwoliła mu złożyć i skomponować najlepsze z istniejących dzieło o artyźmie Żeromskiego, jakiego nauka polska nie posiada dotąd o żadnym innym pisarzu“.

„Ilustr. Kuryer Codzienny“.



K. WALISZEWSKI  
K A T A R Z Y N A II

Dzieło nagrodzone przez Akademię Francuską.  
Opracowanie i przekład Stanisława Wasylewskiego.  
Z przedmową autora do czytelników polskich.  
Str. 366 wielkiej 8-ki z 16 miedziotrukami na osobnych  
tablicach, barwna okładka T. Rożankowskiego.

Cena zł 22.—, opr. zł 30.—.

GŁOSY PRASY:

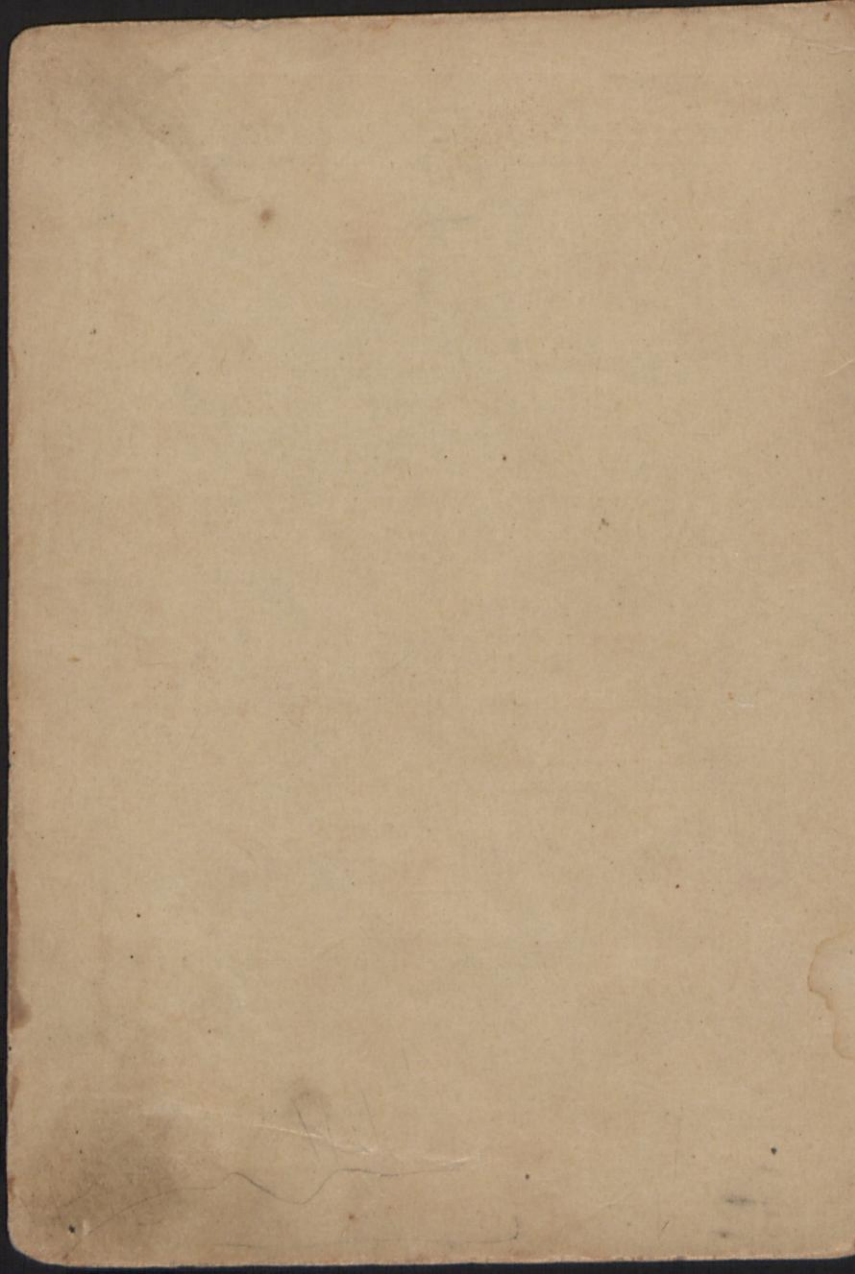
„Dzięki specjalnym i wyjątkowym zaletom pióra i wiedzy Waliszewskiego „Katarzynę II“ czyta się jak najciekawsze rozdziały Swetonjusza, gdy się przedtem Tyberjusz i Klaudjusz znalo jedynie z podręczników szkolnych.

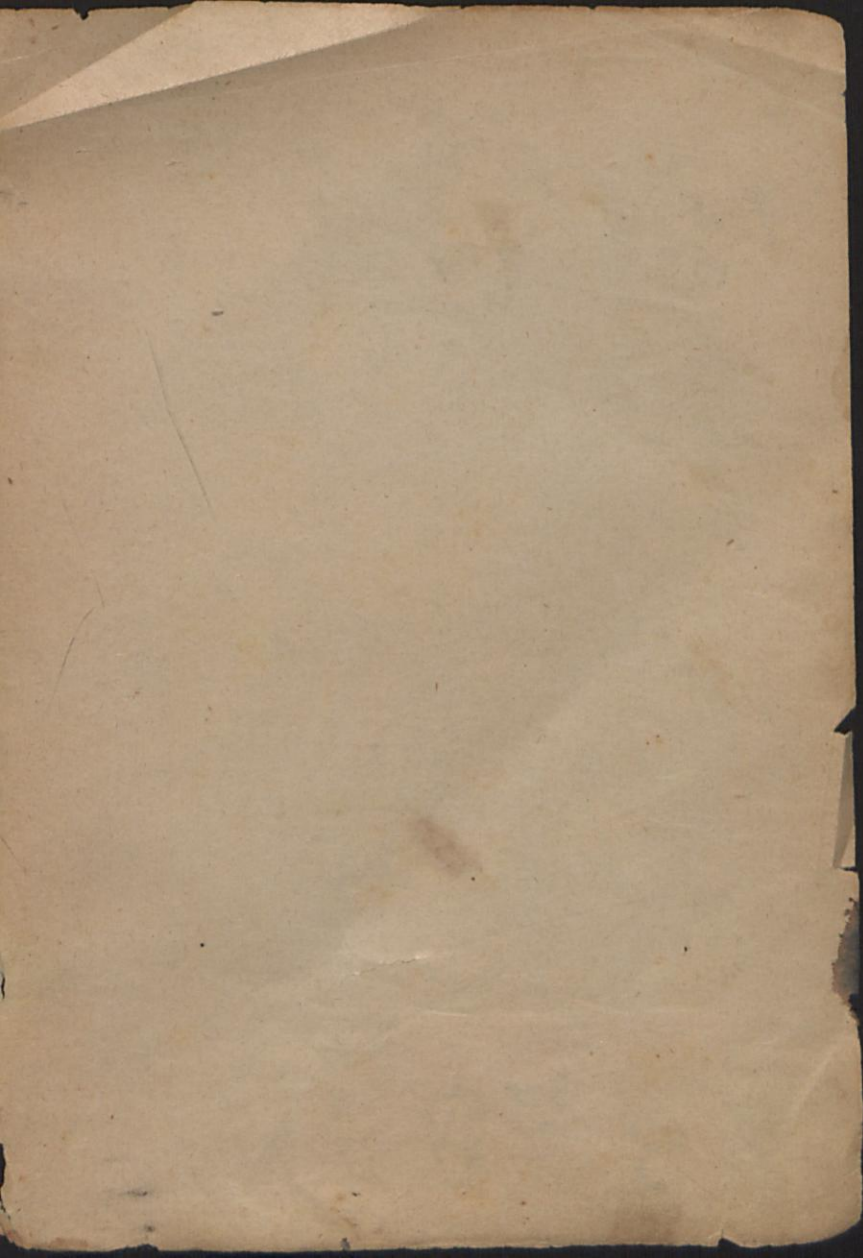
P. Hulka Laskowski.

„Wiadomości Literackie“.

„Jakkolwiek wypadnie ocena historyka, pozostanie niezaprzeczoną wartością literacką dzieła, które mimo nagromadzonej erudycji i szczegółów, czyta się jak powieść, — ciekawą, doskonałą powieść“.

„Tygodnik Ilustrowany“.







307

BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
MIASTA ZAMOŚCIE  
W Zamościu



Ksieg



